MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 1. WARSZAWA, 5 STYCZNIA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

ROK EWAKUACJI NADRENJI

RZĄD francuski zobowiązał się wobec rządu niemieckiego do opróżnienia Nadrenji przed dn. 30 czerwca r. 1930-go. W przekonaniu polityków, pracujących na rzecz „likwidacji następstw wojny" i pacyfikacji świata, będzie to zakończeniem okresu powojennego i wejściem na nową drogę pracy pokojowej w atmosferze powszechnego braterstwa ludów. We Francji entuzjaści porozumienia z Niemcami, których tam coraz więcej zarówno na prawicy jak na lewicy, przypuszczają, że wyjście wojsk francuskich z Moguncji usunie ostatni fakt, który Niemcom przypomina poniesioną klęskę i pozwoli im na szczerą, lojalną współpracę z Francją. W styczniu w Hadze mają być usunięte ostatnie przeszkody, stojące przed polityką porozumienia — skoro plan Younga będzie ostatecznie ustalony i przez uczestników konferencji przyjęty. Ratyfikacja przez parlamenty nie będzie wówczas już ulegała żadnej wątpliwości. Reszty dokona Liga Narodów, i Europa, a z nią świat cały, wejdzie w nowy okres rozwoju i pokojowej współpracy.

Należymy do tych, dla których przedstawione powyżej przewidywania najbliższej przyszłości wydają się złudnemi. Obserwacja biegu wydarzeń uczy nas, że się nic w ostatniem dziesięcioleciu zasadniczego nie zmieniło ani w naturze ludzkiej, ani też w stosunkach międzynarodowych. Dlatego nie możemy wyzbyć się historycznego na świat i ludzi poglądu i wziąć za punkt wyjścia w swych sądach, iż prawa fizyczne polityki są dziś inne, niż były przed dziesięciu, stu i tysiącem lat. Historja zaś uczy nas, iż o pokoju i wojnie nie rozstrzygają nakazy moralne i zobowiązania pisane, lecz siły działające poza wiedzą i wolą ludzką, potężne prądy dziejowe, skrzyżowania dążeń i interesów państw i narodów.

Okupacja Nadrenji była w myśli autorów traktatu Wersalskiego gwarancją, iż Niemcy wykonają to, do czego się podpisując traktat zobowiązali, była zastawem realnym w ręku zwycięzców. Każdy rozumie, że dopóty, dopóki wojska francuskie stoją nad Renem, dopóty Niemcy zależą materjalnie od woli zwycięzców, nie mogą odmówić ich żądaniom, nie mogą naruszyć zasadniczych postanowień traktatu. Okupacja Nadrenji była pomyślana (wyraźnie mówi o tem traktat), jako gwarancja tych postanowień traktatu, które Niemcom najbardziej wydawały się ciężkie, a więc zobowiązań finansowych i poszanowania nowych granic w Europie.

Dla Polski jest okupacja najpewniejszą gwarancją jej bezpieczeństwa.

Kto tedy myśli historycznie i patrzy na stosunki polityczne realnie, ten wie, że opróżnienie Nadrenji wytrąca z rąk państw zwycięskich gwarancje realne, takie, jakich zastąpić nie mogą żadne zapewnienia i zobowiązania. W stosunkach prywatnych zamianą analogiczną byłoby zamienienie hypoteki na zobowiązanie ustne, lub dobrych weksli na przyrzeczenie poparte słowem honoru! Do zamiany zaś takiej, jakiej w stosunkach prywatnych nie zrobiłby żaden przedsiębiorca czy ojciec rodziny, przygotowują się z dziwną lekkomyślnością rządy państw zwycięskich. Na zapowiedź takiej zamiany zaś z olimpijskim spokojem patrzy od szeregu już lat rząd polski, co więcej współdziała, w miarę sił i możności, z wytwarzaniem w Europie nastroju (wniosek p. Sokala i stanowisko wobec paktu Kelloga), który ma ułatwić i usprawiedliwić wyrzeczenie się realnych gwarancyj bezpieczeństwa Polski, wzamian za zapewnienie na żadnych zastawach czy gwarancjach materjalnych nie oparte.

Wyjście wojsk francuskich z Moguncji da wolną rękę polityce niemieckiej w jej walce z traktatem Wersalskim. Nikt zaś nie może mieć wątpliwości co do tego, że naczelnem dążeniem Niemiec jest zwalenie traktatu Wersalskiego, który był uświęceniem i ujęciem w formę prawną ich klęski wojennej. Wiedzą też wszyscy, jakie postulaty stawiają Niemcy. Gdy uzyskają (po opuszczeniu

Nadrenji) swobodę działania, przejdą natychmiast do realizacji swego programu.

Program to znany: nietylko przywrócenie przedwojennych granic Rzeszy Niemieckiej, lecz także przyłączenie do niej wszystkich ziem, na których w większej lub mniejszej ilości zamieszkują Niemcy, program zjednoczenia Niemców, o którym mówił G. Stresemann w ostatniej swej mowie genewskiej. Dla jednych Niemców jest to program utworzenia w środku Europy wielkiej Rzeczypospolitej niemieckiej, którąby wzięła w swe ręce ster Stanów Zjednoczonych Europy, dla innych zaś wznowienie wielkiego Cesarstwa Rzymskiego pod rządem cesarzy z rodu niemieckiego.

Pierwszym etapem wykonywania tego programu (o którym mówi się już dzisiaj) ma być przyłączenie Austrji i rozbiór Polski. Później z konieczności będą wysunięte etapy dalsze: Alzacja i Lotaryngja, Szlezwik, Niemcy sudeccy, Tyrol południowy i t. d.

Program ten głoszą jawnie Niemcy różnych stronnictw i stanowisk, program ten jest wypisany w naturze rzeczy, można go wyczytać w rozwoju historycznym Europy i w układzie stosunków współczesnych. Kto tego nie widzi, jest ślepy i głuchy.

A jeśli to, co powyżej powiedziano, jest słuszne i ścisłe, to z tego wynika wniosek taki: opróżnienie Nadrenji nie jest zakończeniem niepokoju i zamętu w Europie, lecz otwarciem nowej ery tego niepokoju i zamętu. Likwidatorzy wojny i pacyfikatorzy Europy zdziwią się niepomiernie, gdy się przekonają, że po opróżnieniu Nadrenji Niemcy wystąpią z nowemi żądaniami i zaczną mówić innym, niż obecnie językiem. Rok, który się rozpoczyna (o ile jakieś nieprzewidziane wypadki nie wpłyną na odłożenie opróżnienia Nadrenji) będzie datą rozpoczęcia się nowego okresu w rozwoju Europy powojennej, będzie datą rozpoczęcia przez Niemcy ataku na postanowienia terytorjalne traktatu Wersalskiego. Wszystko wskazuje na to, że na pierwszy ogień pójdzie sprawa przyłączenia Austrji, która stanie się zapewne aktualną jeszcze w roku 1930-ym. Potem wysuną Niemcy zagadnienie rewizji swej granicy wschodniej...

Czas tedy już ostatni, by i Polska rozwinęła akcję ochronną. Byłoby lekkomyślnością, graniczącą ze zbrodnią, odkładanie sprawy do chwili ostatniej. Pierwszą linję okopów (ewakuację Nadrenji) już opuściliśmy, nie probując nawet się wcale bronić. Akt kapitulacji odbył się w Hadze, gdzie nas nawet nie dopuszczono do głosu, to zaś żeśmy się nawet nie próbowali bronić, pozwala dziś p. Briandowi na twierdzenie, że Polska w tem wszystkiem nie była wcale zainteresowana. — Druga linja okopów, to sprawa przyłączenia Austrji. Nią się powinno obecnie zająć zarówno kierownictwo polityki polskiej, jak i opinja publiczna w naszym kraju.

STANISŁAW KOZICKI

PRAWDA O T. ZW. POLSKIM KOŚCIELE NARODOWYM W AMERYCE

NIE należy do rzeczy przyjemnych otwieranie ran. Niemniej przykrą jest rzeczą, gdy te rany spotykamy na organizmie społecznym w życiu religijnem. Dla kapłana[1]), pragnącego rozwoju Kościoła Chrystusowego, bolesne jest analizowanie życia, które posiada wielkie uchybienia, wynikające z niezaradności i niedbalstwa czynników, mogących złemu zaradzić, zwłaszcza, że te czynniki powołane są do opieki i czuwania nad całością wiary.

Na podstawie pism amerykańskich, przeważnie przychylnych dla Kościoła, tudzież broszur, poświęconych rozłamowi w Kościele Katolickim wśród polskich wychodźców w Ameryce, pragnę podać nieco faktów, które wykażą w objektywnem świetle genezę powstania, dzisiejszy stan i zabiegi około umocnienia się polskiego Kościoła narodowego. „Kurjer Polski" w Chicago z dn. 24 czerwca 1928 roku (nr. 175) podaje wiele danych, które w niniejszem referacie wykorzystamy.

Odstępstwo od Kościoła Rzymsko-Katolickiego, o którem wspomina ks. Wacław Kruszka w swym memorjale do Papieża w r. 1923, nie było rezultatem nieporozumień, wynikłych na tle zasadniczych dogmatów kościelnych, lecz zostało spowodowane naskutek nieprzychylnego stanowiska dla grupy polskiej episkopatu irlandzkiego, który pod fałszywym protekstem amerykanizmu uprawia swe własne interesy narodowe.

Parafjanie polscy nie orjentowali się, na czem polega tworzenie kościoła narodowego. Uważali oni za zupełnie naturalne i słuszne, że kościół, który własnym kosztem i wysiłkiem zbudowali, pozostanie ich własnością, a nie obco-krajowego biskupa, lekceważącego żywioł polski i tępiącego, gdzie się da, język polski. Szli więc za kapłanami odstępcami, którzy, zerwawszy z jednością Kościoła, a pragnąc umocnić swoje stanowisko, rozdmuchiwali zarzewie nienawiści do Głowy Kościoła Chrystusowego.

Lud polski przy swym konserwatyzmie, głębokiej religijności i przywiązaniu do form i obrządków ustalonych, jest zasadniczo niechętny do wszelkich zmian w Kościele i dlatego parafje kościoła niezależnego zachowują dawne obrzędy i ceremonje religijne. Nie zagłębiając się w dogmaty, wynosi przeświadczenie, że został tylko uniezależniony pod względem majątkowym od biskupów obcokrajowych. Emigracja polska nieopatrznie straciła tytuł własności do kościołów i szkół przez siebie wybudowanych, a w walce z biskupami irlandzkimi jest bezsilną. Biskupi ci, jako właściciele kościelni, mają po swojej stronie sądy amerykańskie, i w razie nieporozumień mogą użyć powagi i siły państwa na wymuszenie posłuszeństwa dla swoich rozkazów.

Korzystali więc z tych przywilejów biskupi obcokrajowcy, wołając policji w Chicago, Buffalo, Baltimore, Filadelfji, Dupont i w Scranton, w sta-

[1]) Artykuł poniższy nadesłany nam został łaskawie przez Osobę, zajmującą w życiu katolickiem w Polsce bardzo wysokie stanowisko (Przyp. Red.)

nie Pennsylwanja, gdzie właśnie powstała pierwsza niezależna polsko narodowa parafja, a w następstwie wyłoniła się organizacja pod nazwą „Kościół Polski Narodowy Katolicki“.

Na czele „Kościoła Polsko Narodowo Katolickiego” stoi biskup Franciszek Hodur, przedtem kapłan rzymsko-katolicki, którego w roku 1907 konsekrowano w Utrechcie w Holandji na biskupa „Polsko-Narodowego Kościoła Katolickiego“ w Ameryce.

Obecnie organizacja tego kościoła składa się z trzech djecezyj:

1. Djecezja środkowa, czyli centralna, z siedzibą w mieście Scranton, stan Pennsylwanja, którą zarządza biskup Fr. Hodur.

2. Djecezja wschodnia, z siedzibą w mieście Chicopee, stan Masachusetts, pod zarządem biskupa Walentego Gawrychowskiego.

3. Djecezja zachodnia z siedzibą w Chicago, którą zarządza biskup Leon Grochowski.

W referacie swym, wygłoszonym na sejmie kapłanów polskich w Pittsburgu, w dniach od 12 do 16 lutego 1921 r., ks. Dr. P. J. Klekotka podaje następujące dane, tyczące się liczby oraz rozwoju parafij „Kościoła Polsko Narodowego“:

„W środkowej djecezji „Polsko Narodowego Kościoła“ znajduje się 34 parafij, obsługiwanych przez 30 księży, w djecezji zachodniej 30 parafij, obsługiwanych przez 26 księży, a wreszcie w djecezji wschodniej 22 parafje, obsługiwane przez 19 księży. Razem 86 parafij i 78 duchownych. Dawniej, gdy taka parafja narodowa gdzie powstała, niezawsze miała żywot długi, ale dzisiaj one nie upadają, owszem budują nowe kościoły, a i o szkołach też myślą. Dążą też oni do opanowania naszych największych organizacyj“.

Referat ten wykazuje dane ściślejsze, które mało były znane szerszemu ogółowi, tak w Polsce jak i w Ameryce.

Niektórzy liczyli tylko kilkanaście parafij polsko narodowych w okolicy najbliższej, inni znowu przypuszczali, że na całym obszarze Stanów Zjednoczonych może być kilkadziesiąt tych parafij. Dzisiaj nieporozumienie usunięto, bo została ogłoszona urzędowa statystyka z wyszczególnieniem każdej parafji i nazwiskiem księdza przy niej pracującego. Statystykę przeto podaną przez ks. Klekotkę należy uzupełnić. Okazało się bowiem, że wszystkich parafij polsko narodowych w Stanach Zjednoczonych istnieje 102, obsługiwanych przez 86 duchownych. W parafjach narodowego kościoła zauważyć się daje brak duchownych, chociaż w Scranton istnieje osobne seminarjum z kursem dwuletnim dla przyszłych duchownych narodowych.

Ks. Klekotka dalej zaznacza:

„Chociaż parafje polsko narodowe wiele już środowisk zajęły, liczba ich wyznawców jest niewielka, bo w liście do poselstwa polskiego podawali oni 150.000 członków, w tem zdaje się licząc i wyznawców swoich w Polsce. Zalawszy już prawie całą djecezję scrantonską, wkroczyli do djecezji filadelfijskiej gdzie już występują w bli[illegible] 10 osadach, czyli prawie w trzeciej części parafij katolickich. Gęsto też są rozsiani w djecezji pittsburskiej, w Nowej Anglji, a ostatnio w Chicago“.

Dodać należy, że parafje polsko narodowe posiadają, oprócz stałych wyznawców, jeszcze osobną kategorję zwolenników, t. zw. „sympatyków“, którzy do parafji nie należą, lecz uczęszczają na nabożeństwa i kazania przez ciekawość lub przez sympatję. Ilość „sympatyków“ trudno obliczyć, lecz z nich rekrutują się nowi parafjanie, którzy, zależnie od nastrojów panujących w danej djecezji rzymsko-katolickiej, wstępują w szeregi wyznawców kościoła niezależnego.

Jak dotąd, parafje polsko narodowe nie mogą dorównać, co do rozmiarów i zasobów, parafjom rzymsko-katolickim. Lecz wyznawcy ich utrzymują, że jak jedne tak i drugie parafje rozpoczęte były na małą skalę i dopiero z biegiem czasu parafje rzymsko-katolickie rozrosły się do obecnych. potężnych rozmiarów. Stopniowo też będą wzrastać parafje polsko narodowe, a wkrótce planowana jest budowa katedry polsko narodowej w Chicago kosztem 200,000 dolarów.

*

O powstaniu pierwszej polskiej parafji kościoła niezależnego w Scranton Pa., Franciszek Hodur, były proboszcz rz. kat. parafji Św. Trójcy w miasteczku Nanticoke w Pennsylwanji, podaje szczegóły następujące (w streszczeniu):

W r. 1896 parafjanie kościoła pod wezwaniem Serca Jezusowego w m. Scranton zapragnęli współpracy z proboszczem przy zarządzie majątkiem kościelnym, który powstał z ich składek dobrowolnych. Sprawa oparła się o biskupa irlandzkiego O'Har'a, który pozwolenia odmówił i zagroził opornym policją i więzieniem. Stąd wynikł dalszy spór, a następnie walka przed kościołem, czego rezultatem było uwięzienie kilkudziesięciu osób, którzy zostali skazani przez irlandzkiego burmistrza miasta na mniejsze lub większe kary. Po zajściu tem, większa część parafjan udała się do Ks. Fr. Hodura do Nanticoke, który po wysłuchaniu sprawozdania zadecydował:

„Wszyscy niezadowoleni i pokrzywdzeni w Scranton niech się zorganizują i pobudują nowy kościół, którego własność będzie spoczywała w rękach ludu. Potem będziemy radzić, co należy dalej czynić“.

Gdy fudamenty nowego kościoła w Scranton były już gotowe, przedstawiciele tej nowej parafji udali się do ks. biskupa O'Har'a z prośbą o poświęcenie i wyznaczenie proboszcza. Biskup kategorycznie odmówił, oświadczając:

„Przepiszcie własność na mnie, a wtedy poświęcę fundamenty i dam księdza“.

Wtedy parafjanie zaprosili na proboszcza Hodura, który wezwanie przyjął i w dniu 14 marca 1897 r. objął zarząd nowopowstałej parafji polsko-narodowej im. św. Stanisława B. i M. w Scranton.

Za przykładem parafji scrantońskiej w krótkim czasie poczęły powstawać inne parafje polsko-narodowego kościoła, głównie w stanach wschodnich, a następnie ruch ten począł się rozszerzać na zachód i znajdować zwolenników prawie we wszystkich osiedlach polskich.

Rozłam kościelny wśród Polaków, przybierając większe rozmiary, stał się groźnym dla interesów Kościoła rz. kat. w Ameryce, a nie ulega wątpliwości, że tworzenie się parafij narodowych powstrzymało zapędy biskupów obconarodowych i położyło pewną tamę dochodzeniu praw i pretensyj biskupich przy pomocy przymusu policyjnego.

Pozostał jednak cały szereg środków i pół środków, które zmierzają do tamowania rozwoju parafij polskich i do przejścia ich pod zarząd proboszczów irlandzkich.

W r. 1927 wyszła z druku w Stanach Zjednoczonych broszura Ks. Jana Czyżaka p. t. „Rozdział kościelny wśród Polaków w Ameryce“, która podaje kilka typowych przykładów, jak następuje:

W r. 1914 Polacy zamieszkali w miasteczku Elyria w stanie Ohio, postanowili zbudować własny kościół, gdyż przedtem zmuszeni byli uczęszczać do kościoła irlandzko-niemieckiego. Składki napływały pomyślnie, tak że już w lipcu tegoż roku zabrano się do zakupienia gruntu.

Gdy wiadomość o tem doszła do biskupa J. b. Farelly w djecezji Cleveland, kanclerz djecezjalny, ks. F. C. O'Reilly wystosował następujący list do ks. Jana Czyżaka, który miał zostać proboszczem nowego kościoła w Elyria:

„31 lipca 1914 r. Cleveland O. Drogi Wielebny Ojcze. „Najprzewielebniejszy Ks. Biskup poleca mi oznajmić, że teraz nie pozwoli na zakupno ziemi, jak to ks. pisałeś w ostatnim liście. Ksiądz dalej będzie odprawiał nabożeństwa dla polskiej misji jak dotąd, a nie będzie wchodził w żadne układy co do kupna ziemi. Z polecenia Ks. Biskupa: Ks. T. C. O'Reilly, kanclerz“.

Na tem tle wynikła obszerna korespondencja pomiędzy ks. J. Czyżakiem a biskupem, która trwała w przeciągu dwuch lat, t. j. do r. 1916. W listach swych do biskupa ks. J. Czyżak podkreślał:

„Niektóre dzienniki polskie wyraźnie zaznaczają, że biskupi obconarodowi nie lubią Polaków i są dla nich nieprzychylni. Dzienniki te namawiają naszych ludzi, ażeby majątków kościelnych nie zapisywali na biskupów. Udało mi się stopniowo zdanie to przełamać tak dalece, że lud mój w zupełności chce się zastosować do regulaminu djecezjalnego. Gdyby się jednak dowiedzieli, że Wasza Biskupia Mość zakazuje zakupu gruntu, odrazu byliby przekonani, że zarzuty dziennikarskie nie są bezpodstawne. Wynik byłby taki, że większa część ludności opuściłaby parafje, a pozostali staraliby się o założenie parafji niezależnej"·

Argumenty te nie odniosły skutku i w dniu 7 czerwca 1916 r. ks. J. Czyżak otrzymuje z kancelarji biskupiej orzeczenie następujące:

„Na dzisiejszem posiedzeniu Komisji Budowlanej, na które stawili się księża, Brennan, O'Leary i niżej podpisany, zostały przedłożone rysunki i kosztorysy na nowy kościół w Elyria. Plany zostały uznane za kompletnie niezadawalniające, nie robiono więc żadnego wysiłku, by wskazać braki, gdyż sądzono, że planom wogóle brakuje potrzebnych dla kościoła wymogów. Ks. P. J. O'Connel, sekretarz Komisji Budowlanej".

Jak się okazało, irlandczyk ks. O'Connell, sekretarz Komisji Budowlanej, był przyjacielem irlandczyka ks. M. Fadden, proboszcza parafji Św. Agnieszki w Elyrji, który miał pretensję, że Polacy powinni uczęszczać do jego parafji. Kanclerz zaś ks. T. C. O'Reilly był kolegą szkolnym księdza Jammes'a Mc. Fadden'a, a więc przedstawił biskupowi, że orzeczenie Komisji Budowlanej samo przez się sprawę umarza.

W tym wypadku solidarność pomiędzy biskupem irlandzkim, ks. O'Farelly, a księżmi irlandzkimi, O'Reilly, Brennan, O'Connell i Mc. Fadden była zupełna.

Ponieważ ks. J. Czyżak nie chciał dać za wygraną i w dalszym ciągu prowadził dość stanowczo korespondencję z biskupem, mogło go czekać usunięcie z parafji lub inna degradacja, lecz jakież jego było zdziwienie, gdy przy widzeniu się z Kanclerzem, tenże go powitał, winszując nominacji na wielką parafję Najśw. Serca Jezusowego w Cleveland, gdzie polecono mu objąć obowiązki pasterskie już od dnia 5 lipca 1916 r.

Następca ks. J. Czyżaka dostał również polecenie, aby kościołu w Elyria nie budował i sprawa została w zawieszeniu aż do r. 1921.

Dnia 16 kwietnia 1921 r. Komitet parafjalny w Elyria zwrócił się znowu do ks. J. Czyżaka, wtedy już proboszcza w Cleveland, z prośbą o poparcie w sprawie budowy kościoła w Elyria i wkońcu dzięki wspólnym wysiłkom, kościół ten mógł stanąć dopiero w r. 1924.

Dokumenty powyższe nie potrzebują komentarzy, gdyż na podobne trudności napotykała przeważna część polskich parafij.

Kościół Św. Krzyża w Elyria, zapoczątkowany w 1914 r. nie stanął aż w jesieni 1924 r., to znaczy, że trzeba było dziesięciu lat zabiegów i walk, by lud polski uzyskał pozwolenie od biskupa djecezjalnego na wybudowanie za własne pieniądze skromnego kościółka.

Obawa przed powstaniem parafij kościoła narodowego jest przyczyną, że niektórzy biskupi starają się utworzyć *modus vivendi* z polskimi parafjanami, lecz naogół walka jest na porządku dziennym. Odmowa pozwolenia na budowę kościołów polskich, rozmyślne przewlekanie sprawy lub pomijanie milczeniem, usuwanie niepożądanych lub opornych proboszczów, a także inne środki i pół środki stosowane są po dzień dzisiejszy.

Wskutek tych okoliczności w końcu grudnia 1927 r. powstała w Chicago czwarta parafja niezależna, o czem w organie K. P. N. K. z dn. 18 grud. 1927 r. czytamy jak następuje:

„Kilka miesięcy temu, spora ilość Polaków, zamieszkała na zachodniej stronie m. Chicago, postanowiła zorganizować nową parafję. Udano się do kardynała Mundeleina, prosząc o zaopiekowanie się nowopowstałą placówką. Kardynał uwzględnił pokorne prośby Polaków i zakupiwszy kilka działek gruntu, przysłał im księdza z wyraźnem poleceniem, aby duszpasterstwo sprawował wyłącznie w języku angielskim. Ks. Smyk musiał podporządkować się władzy i rozpoczął ajryszenie Polaków, zebrawszy nawet kilkaset dolarów na wykupienie własności kard. Mundeleina.

Większość naszych braci nie zgodziła się na podobne poniewieranie swych uczuć i dalszych składek odmówiła. Przez szereg miesięcy jednak musieli Polacy deptać progi djecezjalne i słuchać tej samej piosenki, że albo poddadzą się „wyższej polityce", albo parafji mieć nie będą.

Wtedy powstała myśl zorganizowania parafji na gruncie polskiego narodowego kościoła. Zwołano wiec w szkole publicznej przy West 58-ej i Hamlim ulicy w dn. 10 grudnia 1927 r. uchwalono założyć narodową parafję pod wezw. im. Jezus. Nowoobrany komitet parafjalny, składający się z jedynastu członków, złożył przysięgę. Pierwsze nabożeństwo w nowozo ganizowanej parafji odbędzie się w uroczystość Bożego Narodzenia w lokalu szkoły publicznej. Ks. L. Grochowski, biskup djecezji zachodniej, przyobiecał parafji niezwłoczną obsługę duszpasterską przez naznaczenie stałego proboszcza, który zaraz po świętach rozpocznie pracę na nowej placówce".

Proboszczem został naznaczony Fr. Świątek i w ten sposób w dn. 18 grudnia 1927 r. powstała czwarta parafja polskiego kościoła narodowego w Chicago.

W sprawie tej zabrały głos i inne organy prasy polskiej w Chicago i okolicy, a „Dziennik Związkowy" w nr. 301, z dn. 24 grudnia 1927 r. podaje:

„W ostatnich latach zajęte przez zarząd archidjecezji chicagowskiej stanowisko w sprawie kościołów polskich było tak radykalne, że doprowadzić może Polaków do odłączenia się od Kościoła Rz.-katolickiego i przyłączenia do polskiego kościoła niezależnego. Na południowo zachodniej części m. Chicago, gdzie zamieszkuje 108 polskich rodzin i nie więcej jak 10 rodzin niepolskich, parafjanie chcieli mieć nową parafję rzm. katolic. i zażądali polskiego księdza i polskich kazań. Kardynał Mundelein odmówił, oświadczając, że polskich parafij jest już dość. Następstwem tego powstała polska parafja niezależna. Konkluzja z tego jedna, kardynał Mundelein pcha Polaków w objęcia kościoła niezależnego".

W „Dzienniku Zjednoczenia" z dn. 31 grudnia 1927 r, czytamy:

„Niechęć władzy kościelnej do zakładania polskich parafij katolickich, nigdzie nie występuje z taką siłą, jak w Chicago. Tu o każdą parafję polską trzeba toczyć z władzą formalną, długą, wyczerpującą energję, siły i cierpliwość walkę. Walczono długie lata o nową parafję św. Pankracego w Brighton Park, walczono o parafję św. Zuzanny w Harvej, walczono o parafję św. Fidelisa w dzielnicy Humbolt Park, i trzeba było pisać do Waszyngtonu i Rzymu".

Artykuł ten, wraz z następnym, nawołuje rodaków, którzy założyli czwartą parafję niezależną, do opamiętania się i zwrócenia się do delegata Apostolskiego w Waszyngtonie, lub do Rzymu do Ojca Św. pod adresem *Congregatio de Negotiis Ecclesiasticis Extraoordinariis, Palazzo Apostolico, Vaticano, Roma.*

„Nowiny Polskie" w Milwaukee od siebie dodają:

„Rozporządzenie kardynała Mundeleina sprzeciwia się praktyce kościoła katolickiego i słowom samego Chrystusa, który powiedział do Apostołów: „Idźcie na cały świat i nauczajcie wszystkie narody".

Kilka innych przykładów tłumienia polskości przez Episkopat obconarodowy prasa polska streszcza, jak następuje:

„Dziennik Zjednoczenia" z d. 7 lutego 1924 r.: Madison l. U. Irlandczycy zabrali Polakom kościół piękny, aczkolwiek z drzewa, pobudowany ich kosztem i wszystkie z niego przedmioty zagrabili dla siebie. Obrazy św. Patronów polskich, wymalowane po ścianach, zniszczyli; ostatecznie świątynię Matki Boskiej Częstochowskiej, Królowej Korony Polskiej, zamienili na salę tańców i zabaw. Rodacy nasi z bólem serca cierpieć muszą. W Meksyku czy w Rosji katolików prześladuje rząd bolszewicki, podczas gdy w Madison, J. U. przychodzi to z rąk katolickich biskupów".

W „Dzienniku Związkowym“ z dn. 4 listopada 1927 r. czytamy zawiadomienie zatytułowane:

„Biskupi amerykańcy zabrali się do systematycznego tępienia polskości.

Jak długo kościoły i szkoły zbudowane za krwawicę polską będą zapisywane na obconarodowych biskupów, nic realnego zrobić nie można.

Grono polskich rodzin, odczuwając potrzebę kościoła katolickiego, którego majątek parafjalny ma należeć do wszystkich parafjan, a nie do biskupa, przed trzema miesiącami zorganizowało polską katolicką parafję p. wz. „Świętej Rodziny“ pod Nr. 202-33 w Superior ul. W tym celu zakupiono trzy parcele wraz z drewnianym kościołem. Arcybiskup starokatolicki H. Carfory poświęcił nową świątynię polską i naznaczył księdza K. Kędzierskiego naszym proboszczem. Nabożeństwa w kościele Św. Rodziny pod Nr. 202-33 W. Superior ul. odbywają się w każdą niedzielę“.

„Dziennik Zjednoczenia“ z dn. 9 grud. 1927 r. podaje:

„Arcybiskup Messmer z Milwaukee odebrał władzę pełnienia obowiązków kapłańskich i wyrzucił na bruk, po polsku myślącego ks. Fr. Bolka w Milwaukee. Powodem wyrzucenia była praca tego księdza w duchu narodowym“.

Nie dalej jak w dniu 29 listopada 1927 roku ks. Fr. Bolek otrzymał z kancelarji biskupiej zaświadczenie następujące:

„Archbishop's Residence, 2000 Grand Avenue, Milwaukee, Wis, November 29. 1927 Lecturis salutem. Praesentibus hisce testamur Rev. Fransicum Bolek sacerdotem Poloniae, in hac archidioecesi per sex menses sacrum ministerium laudalibiliter exercuisse. Nullis aut irregularitabus, aut censurae vinculis in quantum sciamus irreptus est. In quorum fidem etc. G. G. Messmer, Archbishop per G. B. Radandte, Sac.“.

Są to głosy i świadectwa dostatecznie oświetlające sprawę.

*

Nie od rzeczy również będzie przytoczyć parę przykładów charakterystycznych, które wykazują dobitnie, jak lud polski przywiązany jest do Kościoła rz. kat. i jak pragnie ten lud zachować wiarę, język i religję ojców swoich.

W „Dzienniku Zjednoczenia“ z dn. 14 listop. 1927 r. nr. 267, ukazał się artykuł p. t.

„Poświęcenie szkoły parafjalnej przy kościele św. Kazimierza w Chicago.

Po kazaniu J. E. kardynała Mundeleina, jeden z księży odczytał błogosławieństwo Ojca Św. najpierw w języku łacińskim, a potem w angielskim. Zapytuję: a gdzież odczytanie tego błogosławieństwa w języku polskim? Wszak uroczystość obchodzono w katolickiej polskiej parafji, poświęcono szkołę dla dzieci katolickich polskich. Wznosili ją parafjanie katolicy Polacy, nie byłoż dostateczną racją, by katolicy Polacy usłyszeli błogosławieństwo Ojca św. w swoim ojczystym języku?

Nikt nie miałby nic przeciwko odczytaniu owego błogosłewieństwa i w języku angielskim dla przypuszczalnie będących na uroczystości katolików Anglików czy Irlandczyków, ale pod warunkiem, że ci, dla których przedewszystkiem ta uroczystość była urządzona, usłyszą błogosławieństwo Ojca wszystkich narodów w swoim języku.

Organizatorzy uroczystości powinni byli o tem zawczasu pomyśleć, by potem tego rodzaju nietaktami nie dawać broni do ręki rozmaitym przeciwnikom kościoła rz. kat., krzyczącym o wynaradawianiu przez kościół i przy pomocy kościoła i szerzącym wśród tutejszych katolików Polaków rozmaite „Kościoły“ narodowe, ludowe i t. p. lub sekty w rodzaju tak zwanych „Badaczy Pisma Św.“, baptystów i t. p.

Nie ulega wątpliwości, że gdy to dojdzie do wiadomości Ojca św., uderzy go niemile takie nieposzanowanie Jego woli, a szerzące się sekciarstwo wśród katolików Polaków w tutejszym kraju, bólem napełni serce Ojca Chrześcijaństwa, któremu Chrystus Pan zlecił łaskę nad wprowadzeniem do Kościoła wszystkich narodów, nie pozbawiając żadnego z nich darów przyrodzonych, do których należy i mowa ojczysta“.

Niestety są to tylko pobożne życzenia, o których Ojciec Św. nigdy się nie dowie ze strony episkopatu amerykańskiego, wśród którego jest wielu ludzi takich, co wyżej cenią politykę, aniżeli sprawę Chrystusową, a kościoły chcą widzieć, jako narzędzia wynaradawiania.

Drugim przykładem jest głos Ojca Justyna Figasa, przełożonego prowincji franciszkańskiej w Buffalo, N. Y.

Przy poświęceniu klasztoru dla sióstr Franciszkanek, wraz z wyższą szkołą dla dziewcząt, w dniu 12 czerwca 1927 r. w m. Hamburgu pod Buffalo, Ojciec Justyn w przemówieniu do Sióstr nauczycielek powiedział pomiędzy innemi co następuje:

„Przemawiam do was Wielebne Siostry, nie jako Wasz prowincjał, lecz jako Franciszkanin zakonnik, jak i wy. W pracy waszej doznacie błogosławieństwa Bożego tak długo, jak zostaniecie siostrami Polkami. Macie uczyć dzieci polskie po polsku i nie słuchać podszeptów: „Zarzućcie język polski, uczcie dzieci po angielsku, bo to język amerykański. Amerykanami są Indjanie, więc chyba nauczycie się ich języka, a język polski w Ameryce ma takie same prawa, jak angielski, bośmy tak samo, jak i Anglicy zbudowali ten kraj w pocie czoła, a przytem zachowaliśmy religję przodków“.

Jest to przykład bezstronności Ojców Franciszkanów, a jednocześnie troska o zachowanie wiary świętej, bo wiadomo powszechnie, że drażnienie ludności polskiej na tle wynaradowiania, doprowadza ją do odstępstwa.

Po fali szowinizmu, która ogarnęła Amerykę zaraz po wojnie światowej, należy z radością podkreślić, że przyszła chwila upamiętania. Kurs amerykanizacji znacznie złagodniał. Dzisiaj prasa amerykańska nie waha się pisać, że należy zachować właściwości etniczne i językowe u grup emigrantów, bo zwiększają one własne zasoby, rozszerzają światopogląd i wytwarzają umysł bystrzejszy.

Znaną jest kampanja, jaką burmistrz miasta Chicago W. H. Thompson, rozpoczął w roku 1927 w sprawie podręczników angielskich w szkołach amerykańskich, w których fakty historyczne były poprzekręcane na korzyść Anglji. Podręczniki te zostały usunięte i wprowadzone nowe, w których uwidoczniono, że do niepodległości Ameryki przyczynili się oprócz kolonistów angielskich również ludzie tej miary, jak Lafayette, Kościuszko, Pułaski i inni.

W ślad za kampanją burmistrza dobrze myślące organy prasy amerykańskiej w Chicago podały:

„Bez napływu różnorodnych grup emigrantów Chicago pozostałoby dziurą prowincjonalną, nie zaś wielką metropolją w sercu Ameryki, jaką jest obecnie. Emigranci ci nie tylko zużywają wszystko najlepsze, co miasto dać może, lecz również wnoszą do naszego zespołu jak najlepsze walory z krajów pochodzenia“.

Prof. M. V. O'Shea z uniwersytetu Madison, Wis., w rozprawie ogłoszonej drukiem przez „Biuro Oświaty“ w Waszyngtonie, wyjaśnia potrzebę poznania dla każdego Amerykanina, oprócz angielskiego, przynajmniej jednego obcego jezyka. Przeprowadził on badania w sprawie studjów obcych języków i stwierdził, że wszyscy, którzy studjowali języki, odnieśli duże korzyści umysłowe.

Podczas więc, gdy przeważająca opinja publiczna w Ameryce skłania się stanowczo ku twierdzeniu, że „im więcej języków posiadamy, tem bardziej wykształceni jesteśmy“, biskupi obconarodowi prowadzą propagandę szowinistyczną, wbrew zasadom i przepisom Kościoła rz. kat.

Szowinizm Episkopatu sprowadza się do dwóch wytycznych punktów:

1) Niemcy, jako nasi wrogowie tradycyjni, starają się polskość zniszczyć pod płaszczykiem anglo-amerykanizmu.

2) Irlandczycy zaś ku temu, by zawładnąć intratnemi parafjami polskiemi.

*

Oto smutny szkic z ruchu religijnego emigrantów polskich w Ameryce. Rozrost kościoła niezależnego jest bardzo niepokojący. Jakie mogą być środki zaradcze przeciwko temu ruchowi?

Niektóre dzienniki polskie w Ameryce wyrażają przypuszczenie, że mogłaby mu zapobiec działalność rządu polskiego, w pierwszej mierze przedstawicielstwa polskiego w Waszyngtonie. Czy można mieć nadzieję, aby z tej strony przeciwstawiono się kościołowi niezależnemu? Mojem zdaniem są to całkiem płonne nadzieje. Obecny rząd polski, a zatem i jego przedstawicielstwa zagranicą, przesiąknięte liberalizmem religijnym, a raczej obojętnością, nie będą się sprzeciwiały rozwojowi sekciarstwa. Dla nich pierwiastek religijny w życiu polskiego wychodźtwa jest obojętny. Niezależne zaś kościoły w Ameryce daleko więcej posiadają w sobie siły oporu przeciwko wynaradawianiu, aniżeli parafje rz. kat. zarządzane przez księży, będących w zależności od biskupów obcokrajowych, przeprowadzających amerykanizację. Jest to fakt smutny, któremu żadną miarą zaprzeczyć nie można. Rząd polski będzie też raczej popierał i mamy na to dowody, że istotnie popiera niezależne parafje.

Objaw jest tem groźniejszy, że kościół niezależny w Ameryce będzie rozwijał stałą propagandę w Polsce. Tutaj znajduje przyjaciół wśród partyj radykalnych, jak stronnictwa chłopskiego, „Wyzwolenia“ w tych okolicach kraju, w których wymienione stronnictwa posiadają licznych zwolenników.

Praca w obronie Kościoła rz. kat. przed zalewem sekciarstwa powinna być rozwijana przedewszystkiem u źródła t. j. w Ameryce. Da się to osiągnąć tylko wtedy, jeżeli podrażnione uczucia wychodźtwa polskiego zostaną chociaż w części zażegnane przez utworzenie przynajmniej trzech biskupstw polskich w tych ośrodkach, w których sekciarstwo jak najbardziej się umacnia. Należy do nich Scranton, gdzie jest główne siedlisko niezależnych, następnie Chicago i wreszcie miasto Chicope, gdzie się znajduje trzecie biskupstwo niezależnego kościoła. Jedyna djecezja Green Bay, posiadająca biskupa Polaka, nie zapobiega panującemu niezadowoleniu wśrod ludności polskiej. W djecezji tej bowiem mieszka bardzo mały odsetek Polaków. Polacy liczą blisko cztery miljony ludności, posiadają około tysiąca parafij i tyleż kościołów swoim kosztem zbudowanych, nie mogą więc zrozumieć, dlaczego nie posiadają ani jednej djecezji polskiej. Oddziaływanie niektórych biskupów pochodzenia irlandzkiego lub niemieckiego, aby słuszne i sprawiedliwe żądania ludności polskiej nie zostały zaspokojone, jest tak uderzające i tak bez żadnych osłon prowadzone, że musi wywierać przygnębiające wrażenie na ludności polskiej, bądź co bądź do Kościoła katolickiego bardzo przywiązanej. Pierwsze niezależne parafje powstały z nienawiści, wywołanej przez nietakt i złą wolę biskupów irlandzko-niemieckich.

N. N.

LITERATURA A FILOZOFJA

ZAGADNIENIE, które stoi przed nami, jest częścią innej o wiele szerszej i nader często rozpatrywanej kwestji: kwestji stosunku sztuki do nauki i *vice-versa* [1]).

Zadanie tedy nasze, dotycząc jedynie odcinka tego wielkiego zagadnienia, jest jednocześnie jego uproszczeniem, ale razem z tem wymaga kondensacji, oraz konkretyzacji i pogłębienia.

Zanim przystąpimy *in medias res*, należy ugruntować w świadomości dwie zasadnicze bazy, na których będzie się wspierał cały nasz wykład. Pierwszą taką bazą, bazą natury zasadniczej, ontologicznej, jest fakt jedności Świata duchowego, z którego wynika, że sztuka i nauka, filozofja i literatura — to poszczególne dziedziny Świata jednego jedynego, Świata duszy ludzkiej, która jest jednością nietylko formalną, ale także realną.

Tezą drugą, niemniej ważną niż pierwsza, jest postulat natury praktycznej, który głosi, że sztuka i nauka, literatura i filozofja — winny być uważana za dziedziny różne, wyraźnie od siebie oddzielone, mające własną treść i zakres, własne cele i metody.

Dwie te tezy, niesłusznie uważane czasem za wzajemnie wyłączające się, winny być punktem wyjścia dla naszych rozważań.

Literatura i filozofja — to dwie dziedziny, leżące na skrajnych skrzydłach — ta sztuki, tamta zaś nauki, i przylegające do siebie. Jeśli zastosujemy porównanie świata ducha do tęczy, porównanie nader często robione, to literatura i filozofja będą pozostawać do siebie w takim stosunku, jak dwie barwy sąsiadujące, n. p. czerwona i pomarańczowa, żółta i zielona. Są to barwy odrębne, jednak, przylegając do siebie, w niektórych częściach na siebie zachodzą.

Podobnież literatura i filozofja mają ze sobą wiele wspólnego, ale równocześnie wiele zasadniczych cech je między sobą różni.

2. Więc przedewszystkiem literatura i filozofja— to dwa różne wyrazy dążności ducha ludzkiego do wolności, a zarazem do prawdy, do t. zw. poglądu na świat.

Ale drogi, któremi one nas prowadzą, nie są te same.

Oto aczkolwiek i tu i tam wyobraźnia i intuicja grają znaczną rolę, jednak stopień działania tych stanów psychicznych w obu wypadkach nie jest jednakowy. W literaturze bowiem pierwiastki te są istotne i konieczne i przepełniają one sobą całość zjawisk; w filozofji tymczasem są to chwilowe błyski przy tworzeniu hypotez oraz na drodze do syntezy.

W filozofji jest zgoła inna postawa twórcy wobec zagadnienia. Cechuje go trzeźwość, krytycyzm, operuje on przedewszystkiem analizą, gdy u poety myśl jest gorąca, czynna, subjektywna i nad analizą wybitnie góruje skłonność do syntezy, tak że rozróżniając te dwie dyspozycje duchowe mimowoli przypominamy sobie Mickiewi-

[1]) Jest to wykład wstępny, wygłoszony dn. 22 października przy rozpczęciu kursu o „Podłożu myślowem twórczości Słowackiego“ w Uniwersytecie Wileńskim.

czowskie rozróżnienie pomiędzy prawdami „żywemi“ a „martwemi“ (w „Romantyczności“).

Rola indywidualności twórczej jest poważna i tu i tam, w literaturze wręcz decydująca. Więc n. p. czas jest w literaturze jednym z głównych motorów twórczości, podobnież t. zw. środowisko. Czasowe, chwilowe przeżycia twórcze, określone danemi okolicznościami, pozostają i winny pozostawać, chociażby ogólny zarys dzieła, całość przekonań poety oraz treść jego ideałów uległa zmianie — w filozofji natomiast gra główną rolę efekt pozaczasowy, ostateczny. Stąd to w dziejach literatury pięknej olbrzymią rolę gra rekonstrukcja tekstu, z wszelkiemi skreśleniami i rzutami próbnemi.

W pracy filozoficznej nastrój podstawowy, postawa twórcy wobec dzieła jest mniej więcej jednolita, przynajmniej to jest postulatem twórczości filozoficznej, tak jak każdej naukowej, gdy w literaturze ustosunkowanie się poety bywa zmienne, nieraz umyślnie różnorodne, jak np. w „Don Juanie“ Byrona lub w „Beniowskim“ Słowackiego.

Jednak i filozofji nie wystarcza stanowisko ściśle poznawcze, tembardziej zaś utylitarne, pragmatystyczne. Właściwe stanowisko filozofa wobec swego dzieła określić można jako witalistyczno-estetyczne [2]), bo filozofja nie tylko objaśnia rzeczywistość, ale jest też bronią do jej zdobycia, „*Waffen zu tieferem Eindringen in die wirklichkeit*“ [3]), przetwarza tedy ją niejako dla swych celów. „*Nous imaginons la vie et en l'imaginant nous la créons. La vie est l'oeuvre de notre imagination*" (Jules de Gaultier).

W filozofji jednak wybitnie przeważa dążenie do objektywnej prawdy, gdy w literaturze subjektywizm, idealizacja są zupełnie dopuszczalne, a nawet wręcz konieczne. Emoncjonalne, uczuciowe (w najszerszem tego słowa znaczeniu) pierwiastki odgrywają w literaturze ogromną rolę; w filozofji z istoty rzeczy — mniejszą, ale byłoby dużym błędem przypuszczać, by w filozofji, czy zgoła w naukach ścisłych nawet, czynniki emoncjonalne mogły nie wchodzić w rachubę. Owszem, i w filozofji religja lub pochodzenie rasowe, narodowe odgrywają dużą rolę [4]). Zachodzi np. bliski związek pomiędzy tendencjami reformacyjnemi Lutra a filozofją Kanta [5]), pomiędzy tą filozofją a późniejszym idealizmem niemieckim, wreszcie pomiędzy Heglem a Marxem, gdy tymczasem w filozofji angielskiej przeważa wybitnie empiryzm, zaś filozofja francuska, pomimo ogromnych nieraz różnic między twórcami, odznacza się wyraźną skłonnością do realizmu, który jest znów podstawą katolickiego poglądu na świat.

3. Zasadnicza tedy różnica pomiędzy filozofją a literaturą tkwi gdzieindziej, a mianowicie w metodzie wyrażania myśli tu i tam. Metoda ta w filozofji polega na dążności do uogólnienia, do abstrahowania, styl filozofji — to bądź co bądź proza, (poza indywidualnemi, cząstkowemi osobliwościami), gdy tymczasem literatura konkretyzuje, indywidualizuje, postaciuje; literatura — to bowiem sztuka, poezja, i nietylko wtedy, gdy posługuje się wierszem, ale także wtedy, gdy używa mowy niewiązanej.

Jeśli mówimy, że literatura ma na celu, podobnież jak filozofja, zdobycia prawdy, to jednak za Euzebjuszem Słowackim możemy określić cel ten, jako „prawdziwość względną myśli“ [6]), jako pewne *à peu près* [7]), jako *Annäherungswerte* [8]). Poeta bowiem, konkretyzując, ściąga swą myśl do rzeczywistego podłoża, opartego o poznanie zmysłowe, do jednego lub niewielu obrazów, do paraboli, przenośni, słowem — do symbolu, uzmysławiając ją w ten sposób i ożywiając.

Ten w znacznej mierze wspólny zakres, przy oddmiennych metodach, literatury i filozofji wywoływał nader często pytanie: która z tych dziedzin jest wyższa? która lepiej wyraża t. zw. prawdę, czyli treść duchową twórcy?

W ciągu wieku XIX-go mieliśmy pod tym względem dwa wyraźne, skrajne stanowiska. Jedno reprezentował romantyzm, stanowczo wywyższający poezję, drugie zaś — pozytywizm, lekceważący poezję, zaś apoteozujący ścisłe wyrażanie swych myśli w zwyczajnej prozie. Jeśli np. Novalis pisał: „*Die Poesie ist das echte absolut Reale. Dies ist der kern meiner Philosophie. Je poetischer, je wahrer*“ — to skrajnie przeciwstawne sądy znajdujemy np. w naszym pozytywizmie, który podnosił konieczność „logicznego sądu o rzeczywistości“, [9]) i wyrażał „z pełnem przekonaniem tezę, że poezja już raz na zawsze umarła“ [10]).

4. Jakkolwiek dziś ustaliła się równowaga w ocenie literatury i filozofji, i już bodaj nikt nie jest skłonny do wygłaszania równie skrajnych i jednostronnych poglądów, co powyższe, to jednak zapytać należy, czem się to dzieje, że pewni ludzie, poeci, bardzo często nawet bogatsi duchowo od filozofów i przeważnie umiejący swą myśl dokładnie i suggestywnie wyrażać, rezygnują jednak z wypowiadania swych przekonań, swych prawd za pomocą określeń ścisłych, drogą wykładu wyczerpującego i dogłębnego, dostępnego każdemu człowiekowi odpowiednio wykształconemu, wykładu, którego tezy mogą być sprawdzone i wytłumaczone, — natomiast „zniżają się" do poezji, paraboli, symbolu, które dopiero w przybliżeniu, *à peu près*, prawdę udostępniają słuchaczowi, czytelnikowi czy widzowi?

Pytanie to stawało często nawet przed samymi twórcami, i oni, jak n. p. u nas Słowacki, Krasiński czy Norwid, próbowali się imać ścisłego wykładu dla wyrażenia prozą naukową tego, co za prawdę mieli, ale to się im nie udawało.

Otóż okoliczność ta, że pewne poglądy i przekonania, pewne t. zw. prawdy, wypowiadamy nie drogą ścisłego wywodu, nie przez uogólnienie naukowe, ale przez sztukę, w danym wypadku przez literaturę, pochodzi z wielu przyczyn.

Po pierwsze stąd, iż pewne prawdy są jeszcze *in statu nascendi* i niepodobna ich odrazu definitywnie i przekonywająco określić, więc czyni to

---

[2]) Porównaj Z. J. Zaleski: Rola wyobraźni w pracy naukowej, Nauka Polska, t. VI, oraz S. Cywiński: Filozoficzne podłoże dzisiejszości, Rocznik Tow. Przyjaciół Nauk w Wilnie, 1918.

[3]) H. Cysarz: *Literaturgeschichte als Geisteswissenschaft, 1926*.

[4]) Porównaj: W. Lutosławski: *Volonté et liberté* 1912, p. 267—8, oraz A. Gawroński: Nauka narodowa czy międzynarodowa. „Nauka Polska“, t. IV.

[5]) F. Paulsen: *Kant der Philosoph des Protestantismus*, 1899.

[6]) Dzieła, 1824, t. I, 217.

[7]) C. Norwid: Milczenie.

[8]) E. Ermatinger: *Das dichterische Kunstwerk*, 1921, 97.

[9]) „Przegląd Tygodniowy“ 1867, Nr. 49, artykuł anonima „Groch na ścianę“.

[10]) K. Wojciechowski: Przewrót umysłowości w literaturze polskiej, 1928, 84.

poeta, dając jedynie ogólny zarys zagadnienia. Przykład: „Nieboska Komedja“, gdzie Krasiński, genjalnie ujmując walkę dwu klas społecznych, zarysowuje jedyną możność rozstrzygnięcia konfliktu socjalnego przez miłość, usymbolizowaną w krzyżu, ale nie próbuje (i oczywiście nie umie) skonkretyzować tych środków, które należałoby zastosować dla usunięcia owego konfliktu.

W innym wypadku prawdy owe, wypowiadane przez poetę, są tak rozległe, tak trudne do przyjęcia i tak głębokie, że twórca umyślnie ucieka się do symbolu czy paraboli, bo systematyczny wykład nie mógłby ich treści dokładnie ująć, a słuchacz — przyswoić.

Do tego rodzaju należą szczególnie prawdy religijne i niektóre pouczenia moralne, których istotna wartość polega na tem, że one „ogarniają dramat życia prawdę wyrabiający“, [11]) t. zn. wymagają potwierdzenia przez osobiste ustosunkowanie się do nich twórcy.

Tak Chrystus, jak wiadomo, zawierał swą naukę wyłącznie w ramach przypowieści, a „bez prypowieści nie przemawiał“ [12]) do rzeszy, acz przecież wiedział, że większość słuchaczy, może wszyscy? ich sensu ukrytego nie pojmowali [13]).

Więc dlaczegóż Chrystus nie porzucał przypowieści i nie próbował uciec się do retoryki, do sztuki przekonywania słuchaczy?

Oto dlatego, że w paraboli każdy słuchacz czy czytelnik zawsze znajdzie pewne ziarno, które przyjąć może, niezależnie od tego, czy stoi na niskim czy też wysokim szczeblu rozwoju, przyjmie bajkę, fabułę, przyjmie wedle sił, wedle skali swego rozwoju umysłowego i moralnego. Więc np. w bajkach Ezopa czy Lafontaine'a, Krasickiego czy Kryłowa powiastka jest łatwo dostępna nawet dzieciom, i bynajmniej t. zw. morał nie jest konieczny, acz przecież ów morał był istotnym celem utworu!

W ścisłym związku z tą okolicznością pozostaje, że kształt symbolu czy paraboli jest względnie łatwo uchwytny i przez swą żywość łatwy do zapamiętania, to też dzięki suggestji artystycznej treść istotna utworu literackiego, jego idea — przechodzi wręcz w naturę człowieka, co wyraża w „Królu — Duchu“ Słowacki:

Nic z tego, co tu wyraźnie wysławi
Anioł narodu trzeźwy i rozumny
Nie przejdzie w ludzi naturę, jeżeli
Anioł narodu śpiewny nie pochłonie
Wieków umarłych — i nie przeanieli
Wszech głosów, w jednym je wydawszy tonie.

Acz poeta ma tu na myśli przedewszystkiem historję i epopeję historyczną, to też słowa te doskonale charakteryzują n. p. znaczenie Homera, Waltera Scotta, czy Sienkiewiczowskiej „Trylogji“, to jednak można je zastosować także do wszelkiej treści myślowej, którą lepiej asymiluje nasza świadomość w ujęciu poetyckiem, niż w systematycznym wykładzie.

To też niema co się dziwić, że romantyzm idealizował poezję i wogóle sztukę, jako rzekomo jedyną bramę, przez którą przenikamy do kraju prawdziwej wiedzy, co wyraził Schiller w swych „Artystach“:

„Nur durch das Morgenthor des Schönen
Drangst du in der Erkenntnis Land“.

Aczkolwiek z tezą powyższą niepodobna się zgodzić w całości, to jednak słuszne jest dalsze zdanie tego poety, że pewnego rodzaju prawdy udzielają się nam przez poezję:

„Was wir als Schönheit hier empfunden
Wird einst als Wahrheit uns Entgegengehn“,

bo symbol, stworzony wyobraźnią poety, żyje w naszej duszy życiem własnem i dojrzewa, przekształcając duszę i formując ją. Prawdę mówi Mickiewicz, że „pieśni długo rosną“, czyli że oddziaływanie ich jest powolne, ale proces ich wzrastania pozostaje w ścisłej łączności z organiczną przemianą indywidualnego ducha ludzkiego, stąd niezmiernie rzadko utwór literacki, podobnie jak treść wierzeń religijnych, zaburza równowagę duchową człowieka, w przeciwieństwie do zdobyczy filozofji, wiedzy ścisłej czy techniki, szczególnie zaś do działania doktryn socjalnych i politycznych, które, nieprzetrawione należycie i niezasymilowane, wywołują zaburzenia w organizmie psychicznym jednostek i społeczeństw, powodując głębokie kryzysy cywilizacyjne.

(Dok. nast.) STANISŁAW CYWIŃSKI

[11]) Norwid w prelekcjach o Słowackim.
[12]) Św. Mateusz 13, 14; św. Marek, 4, 34.
[13]) Św. Marek 4, 10 — 15.

PRZYSIĘGA

Prostemu człowiekowi

Jesienne słoty, rozchlapane deszcze,
Kwiat gdzieś, przypadkiem utai się jeszcze
W bróździe nakrytej, by kolorem strzelić,
Jaki wybierze, szafiru, czy bieli.

Jesienne słoty, dzień krótki a... długi,
Rozmokłą ziemię krają twarde pługi,
A za pługami chodzą jak szyldwachy
Wrony łakome, cięte z czarnej blachy.

Jesienne słoty i żołnierska dola:
Padać do błota i ganiać przez pola,
Aż wreszcie chwila, która duszy sięga,
Rachunek serca, żołnierska przysięga,

Gdzie musisz wiedzieć poco i dlaczego
Trza stawić czoło roztopom i śniegom,
Czemu się wyrzec myśli o powrocie,
Czemu się trzeba... ryć — w słocie i błocie,

Kolego, palce podniosłeś do nieba,
Bo „chciałeś tego“, czy też „bo tak trzeba“.
Stój, chwila jeszcze, jedno chcę ci wyznać,
Nad wszystkie słowa droższe to „ojczyzna“.

Dniestr srebrną taśmą kraje wpół te wzgórza,
Wzgórze w oddali w niebo się zanurza,
A za tem wzgórzem, za dziesiątą rzeką
Nie sięgnąć wzrokiem, jak bardzo daleko
Leżą te strony, ku którym się zrywa
Serce tęskniące i myśl niecierpliwa.

Niech śpią spokojnie, nie spadnie liść z drzewa,
Kwiat niechaj kwitnie, owoc niech dojrzewa,
Miasto niech dymi i tysiącem oczów
Niechaj nie szuka wroga — w mrokach nocy,

A ojce twoi o wieczornym chłodzie,
Niechaj spokojni chodzą po ogrodzie,
Bo choć moc wroga chciwie ku nim sięga,
Jedno ich chroni, jak tarcz — twa przysięga.

Kraków. MIECZYSŁAW STAUDYNGER

NA WIDOWNI

Prawo wysiłku duchowego. — O wysiłku dźwigającym. — Monopol myślenia i dyktatura. — Czy można fabrykować legendę i czy warto? — Legenda i rzeczywistość.

ZACZYNAJĄC nową partyjkę — 1930 — zastanówmy się chwilę, jak siedzimy i o co gramy. W „Myśli Narodowej" siedzimy w gronie wybranej inteligencji. To do czegoś obowiązuje, przedewszystkiem do pewnego wysiłku duchowego.

Wyróżnijmy się od żądnego zabawy motłochu tem, że nie będziemy żądali od „Myśli Narodowej", aby nas tylko bawiła lub łatwiznami schlebiała naszemu lenistwu umysłowemu. Wszystkie cygaństwa, które są plagą współczesnego życia publicznego i literackiego, obliczone są na półinteligencję, którą ludzie haseł chcą mieć za sobą i w tym celu przytakują jej słabości. Co najgłupszego wylęgnie się w mózgach półinteligentnego człowieka, wstydzącego się myśleć, to brane jest na sztandar w tem wyrachowaniu, że takich ludzi jest miljonowy legjon. Ludzie, spekulujący na duszach, wysunęli na czoło życia zasadę ilości — przeciw zasadzie jakości. W ten sposob, zamiast się dźwigać, staczamy się na coraz niższe poziomy. Dogadza to naszemu lenistwu, spadamy, jak woda, w biernej masie, żłobiąc się w lud i deprawując go.

Tem społeczeństwa zawsze stały, że rosły, jak drzewa w górę. W podwalinie kultury leży religja, dająca zbawczą drogę życiu przez to, że zaleca wysiłek ducha. My te podwaliny swoim przykładem i propagandą osłabiamy i zrzekając się myśli, która jest siłą ciągnienia w górę, kładziemy się całym ciężarem na lud. Na co liczymy? Że on zbawi naród swoją ilością, siłą fizyczną, swoim zmysłem życia? Raczej my, inteligencja, go zgubimy wraz z historyczną cywilizacją.

Elita ponosi wielką odpowiedzialność — im wyższy szczebel, tem większą. Naszem ćwiczeniem codziennem powinien być w y s i ł e k dźwigający; ten wysiłek jest racją bytu inteligencji. I dlatego uczyć się trzeba myśleć i przerabiać zdobyte wartości na siłę społeczną.

Z tego stanowiska patrzmy na zadania czasopisma takiego, jak „Myśl Narodowa". Pismo nasze nie współzawodniczy z nikim w demagogji intelektualnej i w dostarczaniu rozrywki tym, którzy się nudzą. Ma zadanie pogłębiania i organizowania myśli. Sfery oświecone górne, powołane do kierowania społeczeństwem, zaniedbując pracę umysłową i moralną, poniosą winę, jeżeli statek polski, zostawiony bez steru, rozbije się. Ani wiedzy, ani zasad nie można zbierać po cywilizacjach cudzych; trzeba wszystko w y p r a c o w y w a ć mozolnie własnem doświadczeniem na własnym warsztacie z własnego materjału.

Bardzo jest praktycznie, proszę państwa, mieć myśl własną, bo wtedy człowiek jest niezależny. Jest to warunek wolności. Ludzie ubodzy duchem dali sobie wmówić, że można myśl upaństwowić, zrobić ją niejako przedmiotem monopolu. Wtedy myśleć będą ci, co zawładną państwem, a zawładnąwszy niem, władać będą ludźmi, jako szafarze momopolu myślenia, którego sekret ma jedna tylko osoba. Tak z monopolu wyrasta dyktatura.

Można sobie wyobrazić przy takim ustroju psychicznym społeczeństwa, jak legendarną staje się jednostka, która myśli za wszystkich i jak szybko spada poziom duchowy ogółu przez sam pietyzm dla owej jednostki, aby ona mogła należycie się uwydatnić.

Legenda o jednostce myślącej za wszystkich staje się jednocześnie legendą o kraju, pozbawionym daru myślenia. Najżałośniejsza byłaby to realizacja mesjanizmu polskiego: naród idjotów. Legenda, takim kosztem zdobyta, należałaby do najbardziej ofiarnych.

O zaparcie się ofiarne w tym kierunku jest u nas dość łatwo. Najofiarniejsi są ludzie przedwojenni, karmieni w młodości romantyzmem. Widuję pisarzy nawet, propagujących obowiązek zrzeczenia się prawa myśli na rzecz legendy. Uroczyście są nastrojeni, że przypadła im misja rodzenia legendy, bo legendę istotnie tylko w nastroju świątecznym rodzić można. Jest to misterjum, okres historyczny czarów, znaków symbolicznych, widowisk alegorycznych, pomników, nominalizmu, werbalizmu, zamawiania, zagadywania, kabalistycznej magji imion i cyfr, mianowania obrzędowego duktów, placów i uroczysk imieniem męża, który jedyny myśli, kultu fetyszów od posągu — do buta.

Nasz sceptycyzm opozycyjny co do tej radosnej twórczości polega na tem, że nie wierzymy, aby legendę można było zgóry mechanicznie wytworzyć. A powtóre, uważamy, że od legendy ważniejszą rzeczą jest r z e c z y w i s t o ś ć. Swięto legendy przeminie, a rzeczywistość pozostanie. Co z nią robić? Więc — choć to dzisiaj nie wolno lub przez zwierzchność jest źle widziane, to jednak ukradkiem uczmy się myśleć o rzeczywistości. Legenda legendą, ale żyć trzeba, a nawet odrabiać legendę.

Cogito ergo sum. W myśleniu zwłaszcza politycznem rzeczywistością jest tylko jedno — dobro Polski. Rzeczywistością jest dlatego, że musimy wszyscy to dobro w y k o n y w a ć. Nie wolno nikomu dawać tak łatwowiernego kredytu legendzie, że jeden człowiek je wykona. Trzeba znać p r a w d ę o b j e k t y w n ą, na czem w każdym wypadku polega interes narodu. Wszystkie rękojmie rozwoju życia narodowego leżą w obowiązku myślenia obywateli i w ich prawie kontroli. Najlepszy inżynier, postawiony na czele rządu, nie sprosta zadaniu, jeśli nie będzie miał oparcia w myślącem obywatelstwie. Matematyk nawet bodaj mniej ma szans poznania rzeczywistej rzeczywistości od ludzi, biorących udział żywy w pracy społeczeństwa i obdarzonych wiedzą oraz intuicją prawdy społecznej.

Bo w życiu ludzkiem dwa razy dwa nie zawsze daje cztery.

DIGAMMA

ZE ŚWIATA

DOOKOŁA SPRAWY PALESTYŃSKIEJ

Szereg pism włoskich, wśród nich *„Messagero”* z 1 i 2.XII, *„Mezzogiorno“* z 23.XI i *„Tevere“* z 26. XI. podkreśla stroniczość w traktowaniu przez Anglję w Palestynie Arabów i Żydów na korzyść tych ostatnich. Ostre zarzuty przeciw Anglji posuwa *„Tevere“* tak daleko, iż kończy artykuł wyrażeniem opinji, że Anglja uspokaja Arabów w ten sposób, aby móc powiedzieć w Genewie: *„l'ordre règne à Varsovie”*.

W komisji, która ma zbadać bezpośrednią przyczynę rozruchów palestyńskich, prokuratorem generalnym jest żyd, syjonista, Bentwick, sędzią śledczym żyd Qualumiyah. W Saford, gdzie toczyła się zacięta walka między Arabami a Żydami, śledztwo prowadzi oficer policji, żyd, Cohen. W Kaiffie sędzią jest żyd Reading, który już uwolnił około 30 Żydów, co do których istnieją dowody, że strzelali z okien do Żydów.

Jednym z najbardziej interesujących, bo najbardziej miarodajnych głosów w sprawie nastrojów palestyńskich jest szereg artykułów pisarza żydowskiego Alberta Londres w opanowywanym coraz bardziej przez wpływ żydowski *„Petit Parisien“*. Autor pragnie tłumaczyć swych współwyznawców, ale stanowisko Żydów w Palestynie nazywa „robieniem głupstw“:

„Wówczas to — powiada tam, zwracając się do Izraela w Palestynie — począłeś popełniać głupstwa“.

Twój kij wędrowca nabrał dumy halabardy i pozwoliłeś mu spadać na stopy Arabów. Twój cnotliwy umysł i twoją fantazję przekreśliły dwadzieścia wieków katorgi. Wracałeś do siebie, jak dawni emigranci powracali z Ludwikiem XVIII, nie starając się nawet poznać tego, kto po twoim wyjeździe kupił twój dom.

Bezczelność *(l'insolence)* nie zawsze jest złą rzeczą, ale trzeba zwracać się z nią do silnych.

Miałeś już dosyć tego, aby być zawsze na szarym końcu. Każdy zrozumie, że miło jest wkońcu zadrzeć nosa. Ale gdy się zadziera nos do góry, nie widzi się tego, co dzieje się obok nas. Żydzie, wieczny tułaczu, lord angielski cofnął swoją rękę.

Rzuciłeś chałat na śmietnik i, ogolony, ostrzyżony, w kołnierzu *à la Donton*, paradowałeś między tłumami.

Nie przecz, widziałem cię. Kroczyłeś za sztandarem, jak kapitan *football*'u, wyprostowany, jak stary strażak. Gdy tak długo wywoływało się litość, miło jest nakazać szacunek. Ale w epoce, gdy się zmienia skórę, nie wysiaduje się, przyjacielu, na balkonie, albo też wpada się w poważne choroby.

A ty właśnie byłeś na balkonie, oparty o balustradę i krzyczałeś pierwszemu lepszemu swe tajemnice. Przesyłałeś, ty, wódz naczelny, swoje plany do obozu nieprzyjaciół. W tym roku chcesz zebrać o miljon funtów więcej, niż w przeszłym i chcesz kupić górę Karmelu. Słuchajcie, Arabowie, chcecie wiedzieć, jaki jest mój cel? Oto mój cel: stworzyć tutaj większość żydowską. Czy wiecie, co robimy w tym roku w Zurychu? Nie wiecie? Oto zdobywamy Palestynę. *Agence Juive*, drodzy Arabowie, którą stworzył kongres, pozwoli na zainteresowanie sprawą kupna tego kraju nietylko żyda wiecznego tułacza. Za dziesięć lat będzie naszym. Za dwadzieścia lat, pięćset tysięcy mych braciszków przybędzie tutaj do mnie. Lord o białych włosach, zwany „Długiem ramieniem“, podniesie nas do godności Kanady, Australji. Będziemy szóstem dominjum. Baczność! Grzmijcie fanfary!

I tu chciałeś grać Hatykwę“. (*„Petit Parisien“* z 25.XI 1929).

Jak widzimy, sens moralny artykułu brzmi: byliśmy nieostrożni i nie ukrywaliśmy dostatecznie swoich zamiarów. Pomimo, że pisany jest w celu usposobienia opinji europejskiej przychylnie dla Żydów, pozwala domyślać się, że nie wszystkie winy były w Palestynie po stronie Arabów. Zasługuje na uwagę z tego względu, że jest pisany przez żyda.

M. W.

WYCHOWANIE NARODOWE

URABIANIE HISTORJI

„Gdy przerzucam podręczniki szkolne, dziś obowiązujące, to z niekłamaną pasją czytam niektóre ustępy: ustępy te nie odpowiadają memu ideałowi wychowawczemu, uważam je conajmniej za zbędne, chciałbym całe dziedziny potraktować inaczej, — i wiem, że tego nie mogę zrobić odrazu“. Tak wyładowywał nadmiar swej energji twórczej były minister Świtalski w swej słynnej mowie do kuratorów*). Niewątpliwie, odrazu to się zrobić nie da, ale powoli i wytrwale coś nie coś się jednak robi, żeby młodzieży zaszczepić pierwszobrygadowe poglądy na historję najnowszą.

Przedewszystkiem na indeks idą książki takie, jak W. Sobieskiego „Dzieje Polski“, tom III, uznane za „partyjne“. Ba, amatorzy detektywi („Kurjer Wileński“) uznają za „truciznę dusz dziecięcych“ nawet wierszyki, gdzie foksterjerek Maik tarmosi lalki: „W maju Maik figle płata, Ale za zło jest zapłata, Dostał klapsa — teraz zmiata”. Potrząsając groźnie batem, zaczął badać podręczniki historji najnowszej mjr. dr. W. Lipiński. Znalazł niedokładności w datach czynów Jego w książce Gebertów i wzniósł nad winnymi karzącą nahajkę — tu jednak dostał po palcach od A. Nowaczyńskiego. Ani śniło mu się jednak zajrzeć do takiego np. podręcznika, jak Wł. Jarosza „Opowiadania z dziejów powszechnych i polskich“, który m. in. opowiadając dzieciom z kl. VI szkół powszechnych o powstaniu listopadowem, mówi (tom II, str. 111, wyd. z r. 1925), że „chcąc lud zapalić do wojny, należałoby chłopów uwłaszczyć, jak tego pragnął Łukasiński i po nim inni patrjoci, a tymczasem Chłopicki, jak i wielu wówczas dziedziców, był uwłaszczeniu niechętny“ — a i gdzie indziej też, jak może, historję klasowo zaprawia.

Ale są też i subtelniejsze sposoby urabiania nowej prawdy o niedawnej przeszłości. Naprzykład, świeżo ukazał się w druku trzeci tom pięknie wydanych wypisów Juljana Balickiego i Stanisława Maykowskiego, p. t. „Miej serce“ (dla III kl. gimn.). Cała ta serja wypisów składa się nie, jak to było dotąd w zwyczaju, z urywków większych utworów, powszechnie znanych, ale z utworów specjalnie dla tego wydawnictwa pisanych przez współczesnych autorów. Wśród tych pisarzy spotykamy i głośne nazwiska, jak np. p. Zofji Kossak-Szczuckiej. Autorka „Złotej wolności“, umiejąca słowem wyczarowywać przed naszemi oczyma wizje przeszłości, zapragnęła fantazją swą przekształcić w duchu swych uczuć i pragnień fakt bardzo świeży jeszcze i bardzo żywo przytomny naszej pamięci, a przytem posiadający pewien określony walor — mianowicie Traktat Wersalski. Co więcej jeszcze, wprowadziwszy tam żyjących i bardzo sta-

*) Zob. „Myśl Narodowa“, Nr. 21, 22, Wychowanie narodowe.

nowczo wypowiadających swe poglądy i przekonania działaczy, Dmowskiego i Paderewskiego, kazała im wbrew wszelkiej logice i prawdzie myśleć tak, jakby sama może na ich miejscu myślała.

Już samo wprowadzenie do wypisów ustępu o Traktacie Wersalskim w oświetleniu subjektywnem i pesymistycznem, może wywoływać protest. Ale poprostu nie można już pojąć u p. Szczuckiej braku szacunku dla indywidualności ludzi, którzy reprezentowali Polskę w Wersalu i których zasługą to było, że reprezentacja Polski nie znalazła się tam obok Niemców i ich sprzymierzeńców.

„W chłodnej, rozumnej twarzy Dmowskiego nie było pełnej radości. Innej Polski chciał ten wytrawny polityk-myśliciel, o inną, potężniejszą walczył do ostatka. Czemu do przyszłego państwa nie wcielono Gdańska, dlaczego los Górnego Śląska powierzono plebiscytowi? Utkwił wzrok martwo w leżących przed nim papierach, danych rzeczowych, dowodzących niezbicie słuszności naszych żądań. Wierzył niegdyś w konferencję, spodziewał się, że naprawi ona krzywdy narodowe, wróci zagrabione ziemie. A teraz ...Kto wie, czy w tej chwili nie zaczęła się w nim kształtować gorzka myśl, że tyloletni przeciwnik polityczny, usilnie zwalczany więzień z Magdeburga, lepiej się, niźli on, przysłużył ojczyźnie, że miał słuszność, licząc więcej na ostrze swej szabli, niż na wagę sprawiedliwości dyplomatycznej“.

Nie jesteśmy zwolennikami metod p. majora Lipińskiego, zapytamy więc tylko p. Szczucką, czy wolno *ad usum* młodzieży stosować taką *licentiam poeticam* o człowieku, który często i wyraźnie wypowiada swe zdania sprzeczne z tem i, jakie mu usiłuje przypisać autorka. Robi ona wprawdzie zastrzeżenie: „kto wie, czy nie zaczęła kształtować się myśl“..., ale myśl ta jest tak niedorzeczna wobec całej ideologji R. Dworskiego, że tylko nieznającym jej zupełnie może się wydać możliwą. Czy na nieświadomość młodzieży liczy p. Szczucka? czy też nie rozumie, że nie godzi się lekceważyć duchowej istoty człowieka tak, ażeby nie dbać, co wygłasza z najgłębszem przekonaniem, stwierdzanem całem życiem. A może autorka ma za złe posiadanie niezłomnych i jasnych przekonań i chce go wyidealizować w oczach młodzieży, odbierając mu to, co jest najwyższą wartością, to jest wiarę w słuszność obranej drogi? Przez tę wartość swoją staje się właśnie Roman Dmowski wodzem młodego pokolenia Polski, które odwraca się od ludzi bez ideowego kośćca. Radzilibyśmy p. Szczuckiej przeczytać uważnie szereg artykułów p. t. „Świt lepszego jutra“, które Dmowski ogłosił w grudniu w „Gazecie Warszawskiej“; zrozumiałaby, że jej wytwór fantazji będzie nietylko niestosowanym wybrykiem, ale i bezowocnym wysiłkiem przekształcenia prawdy. Bo młodzież mimo wszystko będzie wiedziała, kim jest i do czego dąży Roman Dmowski!

Zajrzyjmy jeszcze do podręcznika St. Arnolda, Cz. Leśniewskiego i H. Pohoskiej p. t. „Polska w rozwoju dziejowem. Zagadnienia polityczne, ustrojowe, gospodarczo-społeczne, kulturalne“ (Arct. 1929). H. Pohoska, wykładająca na uniwersytecie warszawskim dydaktykę historji, ceniona uczennica prof. Handelsmanna, opracowała w tym podręczniku m. i. rozdział: Walki o niepodległość i czasy niewoli 1795—1918. Cały ten rozdział wymagałby dokładniejszej analizy. Pominę jednak nieaktualne już suggestje, że tylko „niepodległościowcy” chcieli niepodległości i że pepinjerą ich była P. P. S. oraz ograny już motyw: „Walka o niepodległość 1914 — 1918. Legiony polskie na tle wojny europejskiej“ — przytoczę tylko charakterystyczny zwrot o działalności N.D.: „W ostatniem dziesięcioleciu XIX w. z pnia jej (Ligi Narodowej) odrasta nowa organizacja, zwana „Narodową Demokracją“, a założona przez Jana Popławskiego, Zygmunta Balickiego, Romana Dmowskiego, Juljana (?) Hłaskę. Na terenie kraju „Narodowi Demokraci“ zabierają się do tajnego oświecania ludu, podniecają niechęć do zaborców i utrwalają, obok patrjotyzmu i idei niepodległości, nacjonalizm, wymierzony przeciw Żydom, Rusinom i t. d.“ I tu znów zwrócimy zapytanie pod adresem uczonej historyczki z pod znaku I Brygady: czy wolno określać jakiś prąd ideowy, w tym wypadku nacjonalizm, nie według tego, jak on sam się określa, ale stosownie do pewnego własnego celu. W danym wypadku chodzi oczywiście o to, ażeby móc przeciwstawić „patrjotów“, którymi są oczywiście wierni „państwowcy“, „nacjonalistom“, którzy są wrogami państwa, płonącymi tylko nienawiścią do wszystkich, nie należących do ich partji. To przeciwstawienie słyszymy ciągle w wystąpieniach przedstawicieli rządu. P. Pohoska przygotowuje mu grunt w umysłach młodzieży.

Poza podręcznikami szkolnemi wpływ na młodzież mają wywrzeć książki do lektury pozaszkolnej, których pokaźny szereg już się ukazał dzięki hojnym subwencjom lub spekulacji na poparcie urzędowe. Przed kilku tygodniami zaczęło się też ukazywać pismo tygodniowe „dla młodych“ p. t. „Sternik“, mało ciekawe, ale za to usilnie popierane przez władze. Nic dziwnego! adres redakcji i administracji jest ten sam, co sekretarjatu stronnictwa B. B.

S. Ż.

NAUKA I LITERATURA

AUGUROWIE GENEWSCY

WYBITNY pisarz francuski Réné Benjamin wzbogacił ostatnio swój cenny dorobek literacki, na który składa się szereg interesujących cyklów, jak „*Les Soutiens de la Société*“, „*La Guerre*“, „*La Paix*“, „*Grandes Figures*“ nowem dziełem, które, wydane w maju b. r., doczekało się do chwili obecnej 33-go wydania *). Cyfra ta nie osiąga wprawdzie rekordu słynnej już dziś książki Remarque'a: „Na Zachodzie nic nowego“, ale niemniej świadczy o niesłychanem zainteresowaniu, z jakiem się spotkała praca Benjamin'a.

I nic w tem dziwnego, jeżeli się zważy, że oczy znacznej części opinji publicznej Francji nie od dziś zwracają się z tęsknotą i wyczekiwaniem w stronę Genewy, spodziewając się, że wreszcie urzeczywistniony tam zostanie ideał pokoju powszechnego, którym, niby sennem widziadłem, nie przestają omamiać ludu francuskiego różni trybunowie, nie zawsze liczący się z rzeczywistością polityczną, a nierzadko i układni przyjaciele z za Renu, operujący pięknie brzmiącem hasłem „*rapprochement*“.

Te też dobrze się dzieje, że od czasu do czasu pojawia się książka, czyto w formie beletrystycznej, jak „*Belle Endormeuse*“ Jana de Granvilliers lub „*Sur le Quai Wilson*“ Mar-

*) Réné Benjamin — *Les Augures de Genève*. Paris, Fayard et Cie Editeurs, 1929.

cela Rouff, czy też w formie lekkiego szkicu, jak omawiani tu „Augurowie Genewscy“, wskazuje śmieszne strony hyperpacyfizmu, zdolnego nieraz raczej zaszkodzić niż pomóc rzetelnym wysiłkom, zmierzającym do ustalenia prawdziwego pokoju.

Réné Benjamin dzieli swą książkę na 3 części: *Les Vedettes, Les Têtes Vides, Les Fonctionnaires.*

W pierwszej daje mistrzowskie sylwetki mężów stanu, występujących przed forum areopagu genewskiego, a więc Brianda, Müllera, Scialoi, Hymansa, Lorda Cushendom i innych. Trudno lepiej scharkteryzować mowy Briand'a, w którym słowa obelżywe przechodzą w czułe, dobrotliwość zaś w nieufność, niż odmalowując zdumienie Niemców, słuchających takiej mowy, z których jeden nie znajdzie na to innego określenia, niż „*Ce Briand c'est le faux bon homme français vaniteux et catholique*“.

W części drugiej, noszącej znamienny tytuł „*Têtes Vides*“ przechodzimy do wielkości drugo — i trzeciorzędnych, a więc członków delegacyj na Zgromadzenie, przedstawicieli prasy wszystkich krajów, licznych pacyfistów — rzec można — zawodowych, płci obojga, którzy tłumnie ściągają nad Leman w wielkie dnie Genewy; słuchamy ich rozmów i dyskusyj, więcej lub mniej banalnych. pogrążamy się w całej tej rozgrzanej pacyfizmem atmosferze, gdzie deklinuje się wyraz „p o k ó j“ na wszystkie tony tak, że wedle słów Benjamina chciałoby się zawołać za Arystydesem „Niech mi przyniosą miseczkę“.

Z częścią trzecią wchodzimy do ocienionego pałacu nad brzegiem jeziora, gdzie obradują różne komisje i komitety, dokąd zjeżdżają się ze wszystkich stron świata doktorzy i eksperci, t. j. osoby, które „twierdzą, że wiedzą o rzeczach nieznanych tym, którzy o nich nie wiedzą“. A wokół cały ten świat, który ziewa z nudów, a mimo to chyli się przed autorytetem tych powag.

Jakżeby tu się chciało—mówi Benjamin—powtórzyć słowa Piłsudskiego: „Muchy, Panowie, nawet muchy nie oparłyby się waszym mowom“. Charakteryzując w iskrzący się dowcipem sposób członków Sekretarjatu, osiąga autor szczyt doskonałości, przedstawiając Alberta Thomas i Sir Erica Drummonda, broniących na komisji budżetowej Zgromadzenia budżetów podległych im instytucyj.

Trudno dać słabe nawet pojęcie o talencie autora w obserwacji i opisywaniu ludzi, odtwarzaniu nastrojów najbardziej nieuchwytnych oraz umiejętności, właściwej prawdziwemu *esprit* francuskiemu, przechodzenia od pełnych dowcipu i zjadliwości opisów do poważnych refleksyj, przepojonych szczerym patrjotyzmem i głęboką troską o przyszłość, o losy prawdziwego pokoju, bo opartego na prawie i sprawiedliwości. I do smutnych dochodzi on nieraz konkluzyj, obserwując uważnie życie współczesnej Europy przez pryzmat aparatu genewskiego: „Życie jest dramatem... jest nim wszędzie. Jest dramatem we Francji, bo między innemi, obok głupoty, choroby, śmierci, istnieją Niemcy“.

Nie trzeba pytać, czy idea demokratyczna robi postępy za Renem, czy Niemcy zaczynają nienawidzieć wojny. „Wystarczy patrzeć na nich w Lidze Narodów“. I słusznie, bo jeśli bije się pięścią wśród obrad pokojowego areopagu świata, to czyż można mieć jakiekolwiek iluzje... „Niemiec podobny jest do młodzieńca, którym powoduje nieokiełznana natura, wytrącając z równowagi wolę i pchając go do niespodzianych szaleństw“. „Traktaty, umowy, dyskusje, ostrożności, koncesje, na nic to wszystko wobec tej klęski naturalnej. Gdyby nawet wszyscy Niemcy razem, potężnym chórem narodowym, przysięgali z największą szczerością, że będą odtąd jak baranki, jakążby to dawało gwarancję, jeśli wbrew własnej woli stają się wilkami?“

A na tle tych smutnych rozmyślań wyrasta przed oczyma obserwatora, wsłuchującego się w tętno pacyfistycznej Genewy, spiżowa postać wielkiego żołnierza. „Jeśli naprawdę kochamy pokój, myśleć powinniśmy tylko o Fochu, człowieku wojny. Jemu to, a nie profesorom — kończy swą książkę Réné Benjamin — zawdzięczamy to, że możemy żyć jeszcze jakiś czas wśród ludzkich obyczajów“.

P.

Z ŻYCIA LITERACKIEGO

W kalendarzyku miłośników książki na r. 1930 dano portrety pisarzy odznaczonych nagrodami w latach niepodległości Polski. Nagrody są: 1) państwowa, 2) od Warszawy, 3) od innych miast, 4) od pol. Tow. wydawców i in. Wyliczono nagrodzonych 29. W tem pisarzy politycznych dwuch (Świętochowski, Dmowski), krytyków liter. 4 (Borowy, Boy, Ortwin, Lorentowicz), poetów 9 (Ejsmond, Lechoń, Makuszyński, Małaczewski, Or-Ot, Staff, Tetmajer, Tuwim, Wierzyński), powieściopisarzy 11. Z dramaturgów nikt nie dostał nagrody. Nagrodę państwową dostali: Kaden-Bandrowski, Ejsmond, Makuszyński, Staff, Żeromski. Miasta Warszawy: Berent, Or-Ot, Sieroszewski, Tetmajer. Miasta Łodzi: Nałkowska, Świętochowski. Tuwim. Poznania: Dmowski, Weysenhoff. Lwowa: Staff. Inni dostali nagrody im. Orzeszkowej i Wydawców. Nie wymieniono: Wł. Mickiewicza (Warsz), Goetel (państw.). Ogółem można liczyć za lat 11 30 pisarzy dostało nagród w kwocie około 250.000 zł.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Zeszyt 11 — 12 (za listopad — grudzień) miesięcznika Młodych „A w a n g a r d a“ przynosi szereg cennych studjów i artykułów. Na wstępie spotykamy artykuł Jerzego Drobnika o „Chwili obecnej“, omawiający zadania Młodych wobec aktualnej sytuacji politycznej w Polsce. Sprawom ustrojowym poświęcony jest głównie artykuł dr. Zdzisława Stahla p. t. „Wśród chaosu i poprzez chaos“, omawiający problem państwa narodowego.

Niezmiernie cenne ujęcia syntetyczne posiada artykuł prof. Zygmunta Wojciechowskiego p. t. „Idea Jagiellońska“. Dużo ciekawego i doskonale opracowanego materjału daje artykuł R. Piestrzyńskiego o X Zgromadzeniu Ligi Narodów oraz dalszy ciąg rozprawy Zofji Żółtowskiej o ustawodawstwie pracy w różnych krajach. Dalej wspomnienie pośmiertne, poświęcone zmarłemu wybitnemu działaczowi narodowemu, dr. Leonardowi Stahlowi. Wyczerpująco przedstawiona jest akcja protestacyjna przeciw umowie likwidacyjnej z Niemcami oraz manifestacje młodzieży przeciw odczytowi J. Kaden-Bandrowskiego.

Prenumerata „Awangardy“ roczna wynosi zł. 10, półroczna zł. 5. Dla młodzieży ceny są niższe o połowę. Adres „Awangardy“ Poznań, Św. Marcina 65.

*

Ukazał się nowy (XI) tom „N a u k i P o l s k i e j“, wydawnictwa Kasy im. Mianowskiego. Celem „Nauki Polskiej“ jest służenie badaniu nauki jako zjawiska psychicznego i społecznego. Tom XI zawiera w dziale teoretycznym artykuły prof. T. K o t a r b i ń s k i e g o p. t. „O zdolnościach cechujących badacza“ i prof. F. B u j a k a p. t. „Działacz a badacz“. W artykule „Nauka a formy życia społecznego“ dr. P a w e ł R y b i c k i rozważa zagadnienia z pogranicza socjologji i teorji nauki. „Uwagi o stosunku państwa do nauki“ kreśli p. W o j c i e c h P r z y b y ł o w i c z, „O stanie i potrzebach nauk lekarskich w Polsce“ pisze prof. S t a n i s ł a w C i e c h a n o w s k i.

Część tomu, poświęcona historji życia i organizacji nauki w Polsce, przynosi źródłowy artykuł dr. Macieja L o r e t a p. t. „Polskie pielgrzymstwo naukowe w Rzymie od XVI — XVIII wieku“, w którym autor rzuca nowe światło na tak mało dotychczas zbadane stosunki kulturalne Polski z Italją i — wbrew ustalonej tradycji — dowodzi, że nietylko Padwa ile głównie Rzym z jego ośrodkami n a u k i i k u l t u r y wywarł doniosły i głęboki wpływ na życie naukowe i kierunek myśli oświeconych Polaków tego okresu. Dalej następuje szereg artykułów o organizacji życia naukowego i popieraniu nauki w Belgji, Niemczech, Szwajcarji, Włoszech. Bułgarji i Łotwie, oraz kronika polska i zagraniczna.

*

W naszej, jeszcze nie nazbyt bogatej, literaturze naukowej zjawiło się dzieło, ze wszech miar zasługujące na to, aby zwrócić na nie uwagę nietylko ogółu młodzieży akademickiej, lecz i szerszych kół inteligencji, która pragnęłaby pogłębić swoje wiadomości z dziedziny nauk przyrodniczych. Książką tą, która wyszła z pod prasy drukarskiej w końcu 1929 r., jest „Wykład Chemji Organicznej“ L u d w i k a S z p e r l a, profesera Politechniki Warszawskiej. Autor, znakomicie rozumiejąc potrzebę gruntownego objaśnienia tych procesów, które zachodzą podczas przebiegu reakcyj che-

micznych, nie ograniczył się do schematycznego podania wzorów, lecz szczegółowo, przytem jasno i zwięźle wyłożył, jak te procesy chemiczne należy rozumieć, jak one etapami — od ciał wyjściowych aż do produktów ostatecznych — przebiegają.

Każdy, kto książkę tę weźmie do ręki, ma ułatwioną pracę: nie potrzebuje, nieraz bezpłodnie, dociekać, czemu pewne zjawisko w ten a nie inny sposób zaszło, nie potrzebuje, nieraz błędnie, rozumować nad szeregiem reakcyj chemicznych, których przebiegu autorowie, bardzo nieraz poważnych podręczników, szczegółowo nie wyjaśniają.

Zalety dydaktyczne książki uwydatniają się przy jej czytaniu; słusznie nazwał ją autor „Wykładem", gdyż jak wykład, można ją odczytać. Nie jest to zbiór luźnych wiadomości z pewnej gałęzi wiedzy, lecz logicznie powiązana całość, obejmująca w sobie to wszystko, co niezbędnie jest potrzebne w akademickim kursie chemji organicznej.

Należy dodać, że autor uwzględnił w swem dziele cały szereg najnowszych badań, dość wspomnieć tu o syntezie sacharozy, czyli cukru trzcinowego, której dokonali Pictet i Vogel w 1928 r. Prócz podanych jednak zdobyczy w dziedzinie chemji teoretycznej, w „Wykładzie" umieszczone są wzmianki o znaczeniu technicznem wszystkich najważniejszych związków organicznych; w pewnych zaś, najważniejszych działach, jak np. węglowodanach, barwnikach — podane zostały krótkie technologiczne opisy.

Terminologja chemiczna uwzględniona została przez autora o tyle, o ile to było możliwe ze względu na niezupełnie jeszcze uporządkowane nasze słownictwo chemiczne.

„Wykład", wydany w jednym 649 stronicowym tomie, podzielony został na dwie części: 1) związków nasyconych i 2) nienasyconych oraz pierścieniowych czyli cyklicznych.

„Polskiej Młodzieży Akademickiej pracę tę poświęcam", napisał autor na pierwszej stronicy swego dzieła, i młodzież ta winna być szczerze wdzięczna prof. Szperlowi za tak piękną książkę.

*

Przekład powieści Wincentego Blasco Ibaneza „Kwiat majowy", dokonany przez Franciszka Baturewicza, autora pierwszego polsko-hiszpańskiego podręcznika naukowego, wydany został świeżo przez firmę Sfinks. W przedmowie interesująco omawia tłumacz talent Ibaneza, barwność kolorytu jego opisów, jego bujny temperament pisarski, wreszcie dalekie, odbywane przez niego podróże i wogóle gorączkową, niemal awanturniczą historję jego żywota. Powieść „Kwiat majowy" ma wszelkie zalety innych utworów Ibaneza, a dla powieściopisarzów polskich może mieć głębokie, pedagogiczne znaczenie jako typowa powieść regjonalna. U nas, poza wiadomemi nowelami Tetmajera, i powieściami Orkana i Zegadłowicza, niema prawie utworów o szczególniejszym charakterze regjonalnym. Za klasyczny przykład obserwacyj, które twórcy daje swojskość środowiska, posłużyć może powieść „Kwiat majowy". Nie tylko w zewnętrznej stronie tej powieści, w nazwach ludzi i krajobrazu przejawia się jej narodowość, ale tak okolica rodzinnej autora Walencji, w której rozgrywa się akcja, jak i każda z postaci powieści, mają swój wyraz rasowy. I w tem jest artystyczna wartość książki i jej doniosłe społeczne znaczenie.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Z końcem lutego ukaże się u wydawcy „Plon'a" książka Jerzego Clemenceau p. t. *„Misères et Grandeurs d'une Victoire"*. Zmarły pracował nad nią, jak wiadomo, do ostatnich niemal chwil swego życia. Napisanie jej zostało zaś spowodowane szeregiem różnych prac, wydanych po śmierci Marszałka Foch'a, a w których osoba Clemenceau, a względnie odegrana przezeń rola, została zaatakowana. Clemenceau dotknięty temi atakami, postanowił na nie energicznie, a może nawet i zjadliwie odpowiedzieć. Jednakowoż w miarę jak praca jego posuwała się, słowa i zdania następnie poprawiane, łagodniały. Ci, którzy przypuszczali, iż znajdą w nich bardzo ostre wystąpienia przeciwko Marszałkowi Foch'owi będą prawdopodobnie rozczarowani. Jednakowoż pióro „Tygrysa" nie oszczędziło podobno całego szeregu osób świata politycznego, dla którego żywił coraz to większą pogardę.

Książka, a właściwie pamiętniki Clemenceau będą zawierały około 300 stron druku formatu prac p. Poincaré *„Au Service de la France"*.

*

P. Georges Suarèz, dyrektor polityczny przeglądu *„Gringoire"*, autor prac politycznych jak *„De Poincaré à Poincaré"* oraz *„Peu d'hommes, trop d'idées"* wyda z początkiem przyszłego roku poważną, bo na pierwszorzędnych źródłach opartą biografję Jerzego Clemenceau. Odtworzy ona całokształt życia wielkiego męża stanu, bo sięgać będzie najwcześniejszej jego formacji duchowej, formacji, na którą tak silne piętno wycisnął ojciec jego, Dr. Clemenceau, a obok którego to grobu „Ojciec Zwycięstwa", na mocy wyrażonej swej ostatniej woli, został pochowany.

Książka p. Suarèz'a, napisana barwnie i żywo, będzie też niezmiernie ciekawym i cennym dokumentem dla poznania tego niezwykłego życia, burzliwego i wielkiego, a którego etapy kolejne, począwszy od młodości górnej, chmurnej i dumnej, a skończywszy na ostatnich momentach samotnika, zbawcy Francji, autor odda stylem jędrnym, wtajemniczając czytelnika w całokształt tej jedynej w swoim rodzaju egzystencji.

*

Jeden z najmłodszych krytyków francuskich, p. André Berge, wydał świeżo książkę o najnowszej literaturze p. t. *„L'Esprit de la littérature moderne"* (Perrin et Cie, Paryż 1930 r.), która umożliwia zorjentowanie się w jej dzisiejszych dążnościach i kierunkach ideowych (Oczywiście, chodzi tu o „modernistyczną" literaturę francuską).

Podług autora najnowsza literatura francuska charakteryzuje się tem przedewszystkiem, że nie dba wcale, jak to było niezbyt jeszcze dawno, o doskonałość dzieła tworzonego, uważając dążenie do doskonałości artystycznej („sztuka dla sztuki" i t. p.) za coś, co krępuje twórczość, wogóle jako sprawę głównie zręczności; „modernizm" literacki zaznacza się pragnieniem uchwycenia i odtworzenia tego, co na szybko zmieniającym się świecie dzisiejszym — również jest zmienne i przemijające.

Autor uznaje, że w obrębie literatury współczesnej, nie wszystko jest „modernistyczne" w tem znaczeniu, jakie on nadaje temu pojęciu, — uważa jednak, iż na drzewie literatury gałązka modernistyczna odznacza się największą bujnością i żywotnością.

W książce A. Berge'a znajdzie czytelnik sporo wskazówek do zorjentowania się w poplątanej gęstwinie wogóle współczesnych dążności i zdarzeń literackich.

*

We *„Francesca"* (Editions des Portiques), p. André Lamandé przenosi nas do Gaskonji. W pięknej i jasnej dolinie, dwie wznoszą się wsie: la Bastid i la Toulonzio. Ale pomiędzy niemi od lat, a właściwie od wieków panuje nienawiść, przechodząca z ojców na synów. Tymczasem pewnego pięknego poranka, Flavien Lalbareille z la Toulonzio spotyka uroczą młodą dziewczynę z la Bastid. Jest nią piękna Francesca, za którą wszyscy szaleją. Pełna zalotności, flirtuje ona z wielu, nie chcąc narazie żadnego wybrać za męża. Flavien zakochuje się w niej również na zabój, powodując zazdrość innych konkurentów. Francesca nie odpycha go, ale mu oświadcza, iż wtedy do niego będzie należała, gdy Flawien istotnie stanie się panem fermy w la Toulonzio. Ten, w szale miłości, dopuszcza się zbrodni na własnym ojcu a potem biegnie do Francesci, by jej donieść, iż rzeczywiście jest teraz panem u siebie. Francesca jednak na wiadomość o dokonanej dla niej zbrodni, odpycha od siebie nieszczęśliwego Flavien'a. Ten dramat chłopski jest przez autora silnemi posunięciami skreślony, jak również charaktery bohaterów i malownicze krajobrazy.

SZTUKI PLASTYCZNE

O SALON DOROCZNY

Z POWODU moich uwag o tegorocznym Salonie Dorocznym, umieszczonych w № 53 „Myśli Narodowej", od jednego z miłośników Zachęty otrzymałem list, prostujący dwa moje orzeczenia.

Powiedziałem, że „artyści większej miary naogół bojkotują Salon Doroczny". Autor listu słusznie wykazuje błąd w tem twierdzeniu zawarty, a na dowód przytacza szereg wystawiających stale na Salonie artystów większej miary, jak oto z pośród zmarłych: „Fałat, Malczewski, Noakowski, Masłowski, Stabrowski, Rapacki", oraz z pośród żyjących: „Wyczółkowski, Kędzierski, W. Kossak, Pochwalski, Żukowski, Alfons Karpiński, Tański, Boruciński, Okoń, Augustynowicz, Szańkowski, Popowski, Ziomek, Wróblewski, Kowalewski, Kopczyński, Stankiewiczówna, St. Czajkowski, K. Gorski, Ad. Grabowski, Rudnicki, Lasocki, Zawadzki, Hoffman, Stykowie i tylu innych, oraz rzeźbiarze — Weloński, Madeyski, Lewandowski, Otto, Trzcińska — Kamińska, Jackowski, i inni".

W świetle tego wyliczenia artystów większej miary błąd mój jest aż nadto widoczny i stanowi doskonały argument na rzecz mojego stałego stosunku do Salonów Dorocznych, które uważam za jarmarki sztuki, albo za zloty wiosenno-jesienne, prastarym instyktom wiecowania posłuszne, ale artystycznego celu w nich nie widzę. Tłum i tłok wystawców i dzieł tłumi i zasłania jednostki i dzieła poszczególne. Jak w doświadczeniu z optyki krążek różnobarwny, puszczony w ruch obrotowy, daje wrażenie jednolitej barwy szarej, tak i w tym raucie dorocznym giną artyści i dzieła, a pozostaje we wrażeniu jedna masa czarno-biała fraków i gorsów. Kto był, a kto nie był na raucie? Tylko dziennikarz odpowie: „Wśród zebranych zauważyliśmy“... i tu wyliczy kilkanaście nazwisk, które mu zabrzmią dość efektownie. Czy właściciele ich byli we własnej osobie obecni, to sprawa inna...

Proszę wyobrazić sobie wieczór muzyczny, na którym trzystu muzyków wygra pięćset swoich utworów instrumentalno-wokalnych. Albo zebranie literackie, na którem trzystu poetów wypowie pięćset swoich poematów, choćby minjaturowych. Co z takich dożynków sztuki zostanie ze sztuki? Chyba inne, ale już przez „rz“ — dorzynki sztuki. Żaden gust artystyczny o jakiej takiej kulturze nie wytrzyma tak ordynarnego obżarstwa. Można to jedynie traktować jako brzęczenie much w świetlicy wiejskiej w letnie południe, co, owszem, bardzo miły daje nastrój lipcowy, ale nikt wtedy nie ugania się za każdą muchą zosobna. Salon Doroczny daje właśnie ten ogólny pobrzęk sztuki, a jego warunkiem jest ilość, a nie jakość. Nie byłoby Salonu, gdyby tylko pięciu artystów w pięciu salach się rozgościło. Wtedy byłaby sztuka w całkowitym jej przejawie indywidualnym, a ten cel osiąga się przez zwykłe w ciągu roku wystawy. Salon jest tylko przelotnym, pełnym ruchu, brzęku i świateł kuligiem grudniowym.

Z lekkiem przeto sercem wybaczam sobie błąd niedopatrzenia wyżej wymienionych artystów „większej miary“. W takim gwałcie i tłoku człowiek całkiem miarę zatraca. Byłoby błędem o wiele cięższym, gdybym na podstawie Salonu Dorocznego oceniał stan sztuki polskiej w danym roku, lub w danym okresie, albo gdybym na podstawie dwuch-trzech dzieł Salonu oceniał tego i owego artystę. Jak tam kto się ubrał na tym kuligu i jak kto wyglądał, to jest rzeczą przypadku, co tak poetycznie i trafnie w „kuligu“ swoim ujął Słowacki. Stąd też od szeregu lat nie piszę ocen Salonu Dorocznego, widząc w nim jedynie zjawisko społeczne, na instynkcie gromady oparte, a wszystkim stadom ziemskiego zwierzostanu wspólne.

O ile na tym punkcie uznałem słuszność szanownego mego rozmówcy, a nawet (dla świętej zgody) na jego miarę przystałem, o tyle muszę się przeciwstawić drugiemu jego zarzutowi. Pisząc o owej zgodzie, potrąciłem o pewien portret w słowach następujących: „Nawet ten pułkownik na ognistym rumaku może się pogodzić ze swoim portretem“. Otóż autor listu odparowuje tę moją uwagę argumentem, który tu przytaczam w całości: „Obraz, o którym mowa, jest portretem dobrze zasłużonego dowborczyka, pułkownika Bolesława Mościckiego, dowódcy ułanów krechowieckich, który zginął w 1918 r. śmiercią męczeńską, i dziś umyślnie zapomnianego. Jest więc zasługą art. mal. pkł. Wisznickiego, również dowborczyka, że namalował ten wielki portret, zresztą zupełnie udany“. Tyle miłośnik Zachęty.

Podług mnie portret ten całkiem się nie udał, co jeszcze artyście ujmy nie przynosi. Gorsze jest to, że dzieło, stojące poniżej poziomu, na wystawach obowiązującego, przyjęto na Salon. Jeszcze gorsze jest to, że przyznano mu odznaczenie. A już najgorsze ze wszystkiego jest stanowisko miłośnika Zachęty, który artystycznej wartości obrazu broni argumentami patrjotyzmu, koleżeństwa i zasługi obywatelskiej. Należy przypuszczać, że nie te względy uboczne wpłynęły na przyjęcie chybionego obrazu na Salon. *Jury* Salonu poprostu omyliło się w artystycznej ocenie tego portretu, co ciału zbiorowemu łatwo zdarzyć się może. Nie trzeba już jednak wysilać się na obronę tego błędu, powiększając go złą argumentacją do rozmiarów kompromitacji.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

LIST DO REDAKCJI

Kochany redaktorze.

PROSZĘ uprzejmie o zamieszczenie w „Myśli Narodowej“ tego, co następuje:

W numerze 374 „Robotnika“ z dnia 23 grudnia prof. A. Szelągowski zamieścił ni stąd ni zowąd jakąś pretensjonalną, chaotyczną, neurasteniczną dyatrybę przeciw p. J. Rembielińskiemu, wplątując w to śmiało i bez poczucia dystansu nazwisko R. Dmowskiego. W cokolwiek zabawnym tym liście otwartym, którym zaskoczył redakcję „Robotnika“ i o którego przedruk *(sic)* uprasza inne organy prasy (?) ni stąd ni zowąd powołuje się na rozmowę ze mną i cytuje fragment z naszej rozmowy telefonicznej, i krótkiej i prywatnej, w której niebacznie informowałem go, że w pracy mojej o „Waszyngtonie“ drukowanej w „Myśli Narodowej“ wykreślono mi nazwisko prof. Szelągowskiego, autora dzieła o genezie Konstytucji Stanów Zjednoczonych.

Merytorycznie zgadza się to z prawdą. Ponieważ książka dedykowana jest I. J. Paderewskiemu i ponieważ, sądząc z kilku rozmów prowadzonych z prof. Szelągowskim w ostatnich latach, trwałem w przekonaniu, że profesor Szelągowski jest nadal sympatykiem obozu narodowego, przemijająco tylko rozdąsanym jak tylu, tylu innych, którzy za rok zaczną masowo do obozu wracać, tak jak wracali tłumnie w r. 1918 i 1919, przeto w rozmowie z nim na temat mojej pracy o „Waszyngtonie“ istotnie nadmieniłem, że przypomnienie o jego dziele z pracy mojej mi skreślono. Dopiero w kilka dni później poinformowano mnie, że prof. Szelągowski od jakiegoś czasu jest w kontakcie z tego gatunku zakładem prasowym jak „Kurjer Poranny“ i od tego gatunku typów publicystyki, co komandor Ehrenberg, czerpie inspiracje polityczne... Że atoli został aż stuprocentowym „sanatorem“ przekonałem się dopiero teraz, mając pod ręką tak ordynarny dokument jego nielojalności, jak wyzyskanie krótkiej, prywatnej, telefonicznej rozmowy ze mną dla roztoczenia *coram publico* jakichś profesorskich, niewczesnych gorzkich żalów i dla zabawnego pouczania Romana Dmowskiego, jaką jest młodzież i jaką powinna być polityka dziś, jutro i jedenaście lat temu (?)...

Aczkolwiek już po wydrukowaniu mojego „Waszyngtona“ w „Myśli Nar.“ miałem za złe p. Rembielińskiemu wykreślenie mi zdania także i o dziele prof. Szelągowskiego (czego i przed p. Rembielińskim nie zataiłem) to jednakże teraz widzę, że p. Rembieliński lepiej się w tym razie zorjentował i miał pełną rację. Zasadniczo zaś „wolność słowa“, w której obronie przemawiał p. Rembieliński na znanym wiecu, nie ma nic wspólnego z domowem prawem każdej redakcji do skreślania w porozumieniu z autorem tego, co uważa za stosowne.

Rozpoczynać zaś z obozem narodowym pretensjonalny bój „O młodzież“ nielojalnem cytowaniem prywatnej rozmowy telefonicznej, bez uzyskania *placet* rozmówcy to dopiero jest *unfair*. Że zaś młodzież dzisiejsza raczej jest za zasadą *fair play*, przeto z takiemi rewelacjami i z takiemi niedyskrecjami prof. Szelągowski w zdobywaniu młodzieży na swoim „odcinku“ daleko nie zajedzie.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku i uścisk dłoni.

ADOLF NOWACZYŃSKI

*

[Do powyższego listu A. Nowaczyńskiego, świadczącego jak dalece padł on ofiarą nielojalności towarzyskiej, nie wiele pozostaje mi do dodania. W interesie prawdy stwierdzić jeszcze pragnę, co następuje: 1) Z artykułu A. Nowaczyńskiego wykreślone było nie powołanie się, że ten albo inny cytat zaczerpnięty został z dzieł prof. Szelągowskiego, ale zdanie wtrącone, ogólnikowo chwalące ostatnią książkę prof. A. Szelągowskiego i zachęcające do jej czytania. Taka niemotywowana pochwała tembardziej zbędna była na łamach „Myśli Narodowej“, że kilka miesięcy przedtem powyższa praca prof. Szelągowskiego omówiona została w niej fachowem piórem historyka (dra Kazimierza Lepszego), który w obszernej recenzji przedstawił objektywnie zarówno zalety książki, jak i jej wady i braki, obniżające jej wartość naukową; 2) Żadnych obietnic co do niewykreślania z artykułu pochwał dla prof. Szelągowskiego nie udzielałem.

(J. R.)]

OFENSYWA

„PRZEDŚWIT" CZY RYNSZTOK?

KIEDY w r. 1914-tym publicysta W. Rzymowski pod pseud. Gromicz w tygodniku „Widnokręgi" w kilku artykułach z rzędu dawał druzgocący konterfekt moralny „Kurjera Porannego", nie przeczuwał ani na moment dwóch możliwości w przyszłości t. j. po pierwsze, że sam kiedyś będzie naczelnym *leaderem*... „Kurjera Czerwonego" a po drugie, że w dziesięć lat po poroninach Czerwonej prasy może powstać coś jeszcze mocniejszego w kierunku *moral insanity* prasowej, to jest ten „Przedświt".

Istotnie bowiem, jeżeli chodzi o rekord, o przebój ohydy, to dalej chyba już nie zajdziemy. Od tego momentu musi się przesilić i musi nastać otrzeźwienie i wyzwolenie.

Najbardziej oburza tytuł, tytuł wzięty z Krasińskiego, a przypominający tak żywo pismo londyńskie które się kiedyś brało do ręki nie bez szacunku, pismo w którem krągło 30 lat temu pierwszy St. Grabski poruszył konieczność orężnej walki z zaborcami...

Dziś ten tytuł nosi w nagłówku dziennik, który bierze się do ręki już nie przez rękawiczki, ale chyba w szczypcach, trzymając zdaleka, żeby się nie zatruć wydzielinami druku. Czegoś tak brudnego, brutalnego, dzikiego, azjatyckiego niema żadne miasto polskie. Nawet komunistyczne świstki czy ulotki pisane były z pewnym szlifem i ozdabiane pewnemi fioriturami literackiemi. W „Przedświcie" „gradiuszcze chamstwo", warcholskie, opite polityczną nienawiścią i szałem, napastnicze, wymachujące dubinuszkami, widłami i browningami występuje całkiem nago i wyzywająco bezwstydnie.

Publicystyka warszawska i panowie politycy oswoili już się i z tym instrumentem w orkiestrze. Ale na to oswojenie się i tolerowanie takich objawów w prasie jednak pozwolić nie można. Na tę gromadę takich pracowników trzeba puszczać światło z najmocniejszych reflektorów. Czy na to zwijano „Epoki", aby te miejsca zalewały nieczystości i brudy z takich kanałów?

Sceptycy i cynicy wzruszają na to ramionami: a niech sobie tam będzie, tego i tak nikt nie czyta. Tak decydować niemożna. W tym „Przedświcie" pojawiają się czasem pompatyczne wspomienia to o Okrzeji to o Montwille-Mireckim to o takich, co ich roztrzelano lub którzy zginęli na Sybirze. I temi ofiarami walk i rewolucji zasłaniają się dziś spasione Katyliny, Burdy, Pączki i najgorsza *bagage*, jaka się dała zebrać na takim „odcinku". „Przedświtem" wabi się pismo, ktore najzażarciej walczyło o koncesje dla Harrimana już wtedy, kiedy władze wojskowe zasadniczo wyraziły zdanie, że wielkie elektrownie winny być odległe od granic przynajmniej o 250 klm! Tym prostackim i wulgarnym cynikom żadna *pecunia non olet*.

Nie trzeba nigdy zapominać, że jeden z opiekuńczych protektorów takiego „Przedświtu" w r. 1910 protestował przeciw udziałowi P. P. S. w obchodzie Grunwaldzkim.

Nie trzeba nigdy zapominać, że jeden z nich w Sejmie, kiedy bolszewicy szli na Warszawę, jawnie i cynicznie oświadczył, że lud polski pójdzie bronić państwa, ale tylko pod warunkiem, że za to będzie zapłacony... równocześnie zaś w mieszkaniu jednej z dam tej „grupy" odbywała się p. Sochackim debata, jak tych nadchodzących bolszewików przyjmować (Sierpień 1920).

Nie należy dalej zapominać, że indywidum, które na łamach „Przedświtu" często językiem nożowców i koniokradów przemawia, było jednem z pierwszych otwarcie bolszewickich działaczy i już się brało do rzezi burżuazji w Przemyślu, gdyby mu w porę nie nałożono kagańca.

Nie trzeba zapominać, że taki, co w Gwiazdkowym numerze pisał o świętościach, był kompanem Ilinicza szpiega, co złupił chłopów na kilkaset tysięcy.

Nie trzeba zapominać, że zatruci do szpiku kości demagogją ludzie tej grupy pchali robotników krakowskich do strajku generalnego i do mordowania ułanów polskich 6 listopada 1923 r.

I nie trzeba zapominać, że *spiritus rector, spiritus agens* tego straszliwego zespołu to jest czynnik systematycznego, fanatycznego kłamstwa i oszczerstwa, istota chorująca latami na febrę kalumjatorską, którą właśni ludzie, przyjaciele, druhowie, towarzysze „*ducfreundy*" z Galileji Wschodniej kilkadziesiąt już razy piętnowali bez ceremonji, bez restrykcji, bez pardonu jako notorycznego, zawodowego, nieuleczalnego kłamcę i czci ludzkiej oprawcę, właśni wieloletni przyjaciele, nie tylko Zdziechowscy, Rybczyńscy, Osieccy, Szydłowscy i tylu innych.

Zapewne, że pismo to prędzej czy później sczeźnie i przepadnie, jak przepadła „Godzina Polski" Zawiłowskiego lub „Naród", kiedy im przestano zrzucać z balkonu mieszki z trzydziestoma srebrnikami i złociszami. Ale choć się ma pewność, że *male parta* pójdą do czarta a szajkę wnet przyskrzynią i unieszkodliwią, nie wolno jest udawać między sobą, że takiego „pisma" niema i że wszelkie brudy i burdy, pączki i szumowiny w tem bajorze na wierzch niewypłynęły.

Wspólnicy siedzącego w więzeniu Ilinicza zgrywający się dziś jako „filareci"... Harrimanowcy, alkoholicy, kalumnjatorzy jako awangarda nowej konstytucji 3-ciego Maja, to... to jest to, co możnaby ze Sanatorjum jeszcze wydzielić do osobnego pawilonu... pod odrębną nazwą: „sanatorżniki".

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Bardzo się gniewają sanatorzy na R. Dmowskiego za stwierdzenie w prasie narodowej, że młodzież dzisiaj przedstawia siłę jednolitą, ożywioną duchem narodowym. „Kurjer Wileński" nazywa tę postawę młodzieży „głupotą", a Dmowski oddaje pochwałę „głupocie". Dla „Kurjera" dzisiejszy przedstawiciel młodzieży jest głupi, bo „patrzy na świat przez cudze okulary, żyjąc nie ideami przepracowanemi przez własną jaźń, lecz pojęciami, narzuconemi zzewnątrz(?). Wystawianie świadectwa dojrzałości bezwładowi duchowemu, lenistwu myśli, umiejętności chodzenia na cudzym (?) pasku nie jest niczem innem, jak oddaniem pochwały głupocie". Nazajutrz ten sam dziennik ogłasza jak ewangelję słowa p. Bartla: „Stwierdzam, że jedynie rzeczywistą rzeczywistością jest praca oparta na ideologji Józefa Piłsudskiego". Zresztą „Kur. Wil." wraz z całą prasą sanacyjną lę jedną jedyną ideę wdrażał społeczeństwu od lat szeregu. Gdzież w niej miejsce na ową „własną jaźń"? To jest chyba pasek i obroża. Nie była nigdy „cudzą" ideologja narodowa, która tak gniewa słabe głowy, szczycące się tem, że nie potrzebują myśleć, bo za nie myśli On. Ideologja narodowa była, jest i będzie polskim wychowawcą, nie wypada nazywać jej głupotą. Ona jest mądrością.

*

P. Minister W. R. i O. P. Czerwiński na zjeździe walnym harcerstwa mówił:

„... nowe pokolenie narodu może mieć w swej duszy zbiorowej również niedostatek elementów patrjotyzmu państwowego, że więc ten patrjotyzm państwowy, a nietylko narodowy należy w niem ze wszystkich sił budzić i rozwijać" („Gazeta Polska", 30.XII 1929).

Doskonale. Tylko czy nie będzie nieporozumienia, jeśli młodzież z miłości dla państwa obstawać będzie przy praworządności?

*

Jak przypomniała niedawno „Gazeta Polska", przed ośmiu miesiącami p. minister Piłsudski wypowiedział do ustępującego wówczas prezesa ministrów d-ra Bartla przemówienie, zakończone jak następuje: „Wyjeżdżasz obecnie celem poratowania Twego zdrowia, Twoich nerek, jak mówią ludzie, którzy umieją anatomicznie, po lekarsku badać ustrój. Wrócisz, po powrocie Twego zdrowia, do nas jak swój, jak kolega. Niechże zginą Twoje „nerwy", niechże zginą Twoje „nerki". Odpowiedź zaś p. premjera Bartla zaczynała się od słów następujących: „Czcigodny Panie Marszałku i Szanowni Panowie Koledzy! Najprzód najserdeczniej, z całego serca dziękuję za te słowa Pana Marszałka. Uznanie P. Marszałka i t. d."

Niezmiernie pouczająca i charakterystyczna dla dzisiejszych stosunków jest ta różnica... tytulacji, zastosowanej w przemówieniach obu przyjaciół.

*

Dosyć niepostrzeżenie naogół przechodzi swe stadja to, co nazywamy kryzysem cywilizacji. Wzrok oswojony już z codziennością zjawiska. Lecz czasem z tła wybije się jakiś epizod. Np. w dzień wigilijny, w przedwieczerz, jednemu z pism warszawskich nasuwa się, jak codzień pytanie: „Co zrobić z resztą wieczoru?" — i pod nagłówkiem tym, jak zwykle, sprezentowana zostaje lista scen i kin stolicy, choć nawet tego dnia wszystkie nieczynne. Na tej samej stronie przygodnie rozwiązana kwestja: „Gdzie najlepiej spędzić popołudnie świąteczne? — W Cyrku..." Wewnątrz rywalizacja tytułów — tłustodruków: „Na Pasterkę... Nabożeństwa w noc wigilijną". I *pendant*: „Kult ciała. Symfonja zmysłów powieści przetransponowana na film". — A pierwsza strona: artykuł redakcyjny: „Gdy się będziemy dzielić opłatkiem..." i wiersz Jana Kasprowicza.

Trudno chyba wytrzymać długo w tak groteskowej postawie. Czas pokaże, jak wzgląd na komiczność (u jednych), na kulturę narodową (u drugich) — przeważy — w interesie jednolitszego charakteru prasy.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administacji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**. Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich. Tel. 19-57, Zielna 47 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.